Biblioteka Uniwersytetu Gdańskiego
CW 9013

Cena zł 20

DZIŚ i JUTRO

KATOLICKI TYGODNIK SPOŁECZNY

Rok V | Warszawa, 26 czerwiec 1949 r. | Nr 25 (187)

Walenty Majdański

O pełną „Deklarację Praw Człowieka"

„Niepodobna uleczyć choroby toczącej społeczeństwo, o ile nie mówi się o niej otwarcie".

Stuart Mill

NIESPODZIANKA

Nie chodzi mi w tym artykule o jeszcze jedno rozwiązanie katolickie, poruszanych przeze mnie w „Dziś i Jutro" problemów. Będzie on natomiast próbą, czy sprawy, której od czterech lat bronię w tym piśmie, dziś — w dziesiątym z kolei artykule — nie da się uzasadnić etyką czysto naturalną, bez żadnej... domieszki katolicyzmu.

Po wtóre: świat szuka pokoju. Ale chodzi o trwały pokój, a ten dać może tylko człowiek o szlachetnej postawie wobec drugiego człowieka, zwłaszcza słabszego: a któż jest słabszy niż dziecko? Spróbujmy więc związać nasze rozważania populacyjne z problemem pokoju, tym bardziej, że, jak na to zwrócił w Polsce uwagę niedawny artykuł księdza Piwowarczyka[1]), zagadnienie populacyjne staje się palącą kwestią międzynarodową na odcinku Japonia — USA.

KOŁYSKI I POTĘGA STANÓW ZJEDNOCZONYCH

USA rosły jednocześnie w siłę i zaludnienie. W roku 1800 liczą 5,3 miliona mieszkańców, w roku 1936 128 milionów, dziś — z górą 148[2]). A więc w ciągu półtora wieku wzrost blisko trzydziestokrotny, zjawisko w historii nie notowane. W dodatku ludność to szczególnie obdarowana z natury. Ta to ekspansywna ludność, rosnąca lawinowo, i bogate tereny, równe nieomal obszarem Europie: to podstawa mocarstwowości Stanów. Badacz amerykański A. J. Lotka szacuje liczbę dzieci w dawnej rodzinie jankesowskiej na 8,33, średnio.

Lecz obecny obywatel USA... unika dzieci. Unika więc... przyszłości, bo: jak wyjaśnia tej miary historyk, ekonomista i demograf, co profesor Bujaw: „Ilość zaludnienia rozstrzyga o sile państwa oczywiście, nie wyłącznie, gdyż nie mniej ważny wpływ wywiera skład etniczny ludności, stopień jej kultury i stan moralny. Siła polityczna państwa wyraża się w wielkości jej siły zbrojnej i w wysokości budżetu, które od liczby ludzi zależą. Tak samo siła gospodarcza kraju, stosunek rozwoju jego produkcji i wymiany zależy od ilości zaludnienia i od rodzaju jej skupień osadniczych. Od tych samych czynników zależy siła kulturalna kraju, jego twórczość w dziedzinie sztuki, literatury, nauki"[3]).

Na rok 1933 przypadało w Stanach na rodzinę 3,4 człowieka, czyli 1,4 dziecka, średnio: jak obliczał W. F. Ogburn. Co prawda, od roku 1941 notuje się tam pewien wzrost urodzeń, nawet w roku 1947 urodziło się milion dzieci więcej niż w 1946, ale chyba to zwykły objaw po wojnie jako skutek zwiększonej liczby nowych małżeństw, tym bardziej, że w USA w roku 1946 zawarto małżeństw 16,4 na 1000 ludności: więcej, niż gdziekolwiek w wiekach XIX i XX[4]). Że nie zanosi się tam na wielodzietność, mówi obserwacja: oto rodzina z liczbą dzieci ponad dwoje bywa w Stanach przedmiotem podziwu.

Na razie tedy Stany żyją gigantycznym rozmachem poprzednich pokoleń, pochodzących z rodzin wielodzietnych. Lecz co z tym dziedzictwem zrobią dzisiejsze i jutrzejsze pokolenia jedynaków i jedynaczek? Historia populacji uczy, że tacy ludzie dają schyłkowy typ bycia i kultury, a swój kraj... według demografa A. Grotjahn'a, żeby ludność nie zmniejszała się z pokolenia na pokolenie, każde małżeństwo powinno wychować co najmniej troje dzieci poza piąty rok życia. Zatem, od trojga do czworga: to minimum. Dwoje dzieci, to droga na cmentarz dla narodu.

ZNÓW JAK W XVII WIEKU

Około roku 1650 jest Ameryka kilkanaście razy rzadziej zaludniona od Europy. Późniejsze tereny Kanady i Stanów nie liczą wtedy więcej niż milion mieszkańców, gdy Europa 100 milionów. To zdecydowało o inwazji Europejczyk na Amerykę, zwłaszcza na Północną.

Ale czy podobne dysproporcje nie zarysowują się na przyszłość: tyle, że tym razem między Ameryką a Azją?

Już w roku 1936 liczy cała Ameryka 263 miliony ludzi, gdy Azja 1145. Na początek XXI wieku przewiduje się dwa i pół miliarda Azjatów. Odsłania to choćby „British Medical Journal" z 9.VIII 1947 spostrzegając, że ludność Indii rosła w latach 1931 — 41 rocznie o 1,5 proc., co podwaja zaludnienie w ciągu 46 lat. Indie liczą z górą 400 milionów mieszkańców. Chiny, według publikacji ich ministerstwa spraw wewnętrznych posiadały w roku 1945 — 466 milionów, a rosną ludnościowo podobnie jak Indie[5]). Malajowie znów, na pomoście Azjo-Australijskim, potrafią dorabiać się największej w świecie gęstości zaludnienia: trzy razy terenowo mniejsza od ówczesnej Polski wyspa Jawa z Madurą liczyła w roku 1936 — 45 milionów ludzi z 341 na kilometr kwadratowy. Co godne podziwu: Azjaci mnożą się i rosną w kulturę. To znaczy, że gdyby nawet mniej rodzili (już tak jest w Indiach), mogą, dzięki higienie, silniej niż dotychczas rosnąć ludnościowo. Po dwu miliardach przyjdą lekko cztery miliardy...

PAN WARREN S. THOMPSON REGULUJE LICZBĘ ŻÓŁTYCH

Czy bogate Stany nie widzą swego braku dynamiki ludnościowej, a naprzeciw siebie — miliarda zabiedzonych [illegible] pracowitych i zdolnych Azjatów? Miliarda nieporadnych dziś, a dwu miliardów jutro, posiadających europejską technikę, organizację, naukę, tudzież świadomość swej wagi na szalach globu?

Ależ widzą. I nie od dziś. Toteż „Amerykanie — pisał przed wojną polityk polski[6]) — posyłają do Azji Imkę (YMCA), żeby uczyła Chińczyków, jak regulować liczbę urodzeń. Lecz długa to praca, bo prędzej Amerykanie zginą, niż Chińczycy przestaną się mnożyć"

Taki system ratowania Stanów, czy... pomocy Chinom, pragną niektórzy „myśliciele" jankesowscy rozszerzyć. Oto Guy Irving Burch radzi w swych publikacjach stosować przymus wobec narodów rosnących silnie ludnościowo, a Harold Cox chciałby powołać w tym celu „Ligę Narodów Ograniczających Potomstwo". Zdawałoby się pomyleńcy, a jednak, gdy w roku 1856 admirał amerykański Perry zmusza Japonię armatami do otwarcia portów dla handlu z białymi, to w roku 1948... wkrótce po odwiedzinach rockefellerowskiej „Misji do Spraw Zdrowia i Zaludnienia" [illegible] chwala ustawę, zezwalającą na przerywanie ciąży ze „wskazań lekarskich i społecznych".

A znów na początku 1949 roku przybywa do Japonii na zaproszenie Mac Arthura doktór Warren S. Thompson, jako doradca Zarządu Wojskowego. W dniu 8.II.1949 ukazuje się w „Nippon Times" wyraźnie inspirowana notatka, zarzucająca rządowi japońskiemu, że dotychczas nie przygotował programu ludnościowego i zalecająca wykorzystanie do tego celu rad obecnego w Japonii „słynnego specjalisty" doktora Thompsona. W dniu 1.III donosi Agencja Reutera, że ogłoszono ustawę zezwalającą na sprzedaż środków zapobiegawczych, a w dniu 5.III tenże Reuter zapowiada program „wychowawczy" rządu japońskiego, którego zadaniem będzie zmniejszenie przyrostu ludności w Japonii.

Dodajmy, że dr Thompson, amerykański rzeczoznawca od spraw ludnościowych, jeszcze w roku 1930 ciekawił się możliwościami ludnościowymi Japonii i bolał nad jej rozrostem populacyjnym. Japonia miała wtedy 63,7 miliona ludzi. Amerykanie pouczają, że nie wyżywi więcej. Tymczasem według najnowszych statystyk przybywa tam co roku milion ludzi, przewiduje się tedy na rok 1968 100 milionów zaludnienia. Co ciekawsze, według „Population Index"[7]), urodzenia w Japonii skoczyły z 27,3 prom. w latach 1941—46 na 34 prom. w roku 1947, dając krajowi 20 prom. przyrostu ludności, gdy ludność Stanów w tymże roku, choć osiągnęła rekordowe tempo urodzeń — 4 miliony — dała tym zaledwie 14 prom. przyrostu[8]), a w latach 1938—45,8 prom. przyrostu[9]).

---

1) „Biologia czy etyka" z dnia 29.V 1949, „Tygodnik Powszechny".

2) W d. 1.VI.1949 147.946 tysięcy.

3) „Źródła do historii zaludnienia Polski", strony 288, 289.

4) Tylko na Węgrzech w roku 1919 zawarto 20,4 małżeństw na 1000 ludności. Dane z „The Family Digest".

5) Podobnie ogromny przyrost notuje „British Medical Journal" w Afryce wśród kolorowych.

6) R. Dmowski: „Świat powojenny i Polska", strona 59.

7) Wydawnictwo „Princeton University" USA.

8), 9) Z ułamkiem.

Wytyczne

Pragniemy się podzielić z naszymi czytelnikami trudnościami, towarzyszącymi naszej pracy. Sprawa, choć drobna, jest bardzo charakterystyczna.

Numer 23 „Dziś i Jutro" w artykule Dominika Horodyńskiego p. t. „nasza diagnoza i cele" przynosi następujące sformułowanie: „Filozoficzna treść dzisiejszego socjalizmu jest dla katolików nie do przyjęcia. Zjawia się więc pytanie, czy zwycięstwo rozwiązań socjalistycznych nie musi doprowadzić do dramatycznego w skutkach starcia między katolikami a faktycznymi dzisiaj realizatorami socjalizmu — a — katolickimi marksistami".

Sądzimy, że treść tych dwóch zdań jest jednoznaczna. Ustala ona niemożliwość pogodzenia filozoficznej treści marksizmu z katolicyzmem i nazywa marksistów — akatolikami. Ponieważ w tekście omawianego artykułu wyraz „akatolicki" był napisany z kreską w środku (a-katolikami), przeto szereg jednostek czuła się upoważnionych do stwierdzenia, że użyliśmy terminu „katolicki marksista". Absurd podobnego przypuszczenia jest oczywisty. Smutny natomiast jest fakt, że oponenci naszego kierunku społeczno-gospodarczego, zamiast ustosunkowywać się krytycznie do naszych koncepcji, czytają „Dziś i Jutro" z nastawieniem znalezienia w nim błędów doktrynalnych.

Określamy ten incydent, jako drobny, ale charakterystyczny. Ucieczka od zagadnień merytorycznych w dziedzinę ortografii nie stwarza warunków dla twórczej dyskusji. Ufamy jednak, że coraz głębszym formułowaniem naszej postawy przekonamy oponentów o konieczności doceniania samej wagi problemu.

Na marginesie powtarzamy tezę z poprzednich wytycznych: nie uważamy marksistów za złych katolików, ponieważ nie są katolikami w ogóle.

PONIŻANIE SZTANDARU GWIAŹDZISTEGO

Co oznaczają wymienione dopiero co ustawy japońskie? Oto Amerykanie „wychowują" Japonię do przyjęcia rozpowszechnionego w USA zwyczaju, którym normalny, zdrowy psychicznie człowiek się brzydzi, mianowicie: do wynaturzonego życia małżeńskiego. I „wychowują" do dzieciobójstwa, bo czymże jest przerywanie ciąży, jak nie okrutnym odbieraniem życia dziecku w łonie matki: **dziecku nienarodzonemu?** Również i ten drugi proceder kwitnie w USA: morduje się tam co roku kilka milionów dzieci w łonach matek — najczęściej dla podtrzymania dobrobytu lub zachcianki. Dwa te zwyczaje to składniki kultury amerykańskiej, które niszczą Stany moralnie i ludnościowo, a chociaż na podobne zwyczaje cierpi również wiele narodów białych, to jednak to, co stanowi w ich życiu prywatną ułomność i zbrodnię, narzuca się urzędowo w Japonii człowiekowi kolorowemu. Czy spośród wszystkich rodzajów wyzysku kolonialnego nie jest to wyzysk najboleśniej godzący w człowieczeństwo kolorowego?

Cóż poza tym oznacza wprowadzenie przerywania ciąży ze „wskazań lekarskich"? Jest to cofanie medycyny japońskiej. Na ostatnim, np., zjeździe pielęgniarek Anglii i Walii oświadczył tak znakomity chirurg i położnik, jak John Lyle Cameron, że dzisiejszy poziom medycyny i wynalazków pozwala ocalić każdy płód ludzki. Z doświadczeń znów narodów współczesnych wiadomo, że ustawowe pozwalanie na przerywanie ciąży ze „wskazań społecznych", to furtka do nieograniczonej ilości poronień, mogących wynosić setki tysięcy co roku zabijanych dzieci nienarodzonych, jeśli nie miliony. Czy nad wykonywaniem takich rzezi dzieci japońskich ma czuwać Mac Arthur, jako wychowawca Japonii i jako symbol tamże etyki białego człowieka? Któż bardziej zhańbił imię białego człowieka w oczach kolorowego? Co na to inne narody białe, co na to wychowawcy całej kuli ziemskiej? Co międzynarodowe organizacje opieki nad dzieckiem i „Czerwone Krzyże" wszystkich państw z „American Red Cross" włącznie?

Czy kobietę o takim poczuciu macierzyństwa jak Japonka można skłaniać, by zabijała pewną liczbę swych dzieci... dla dobra Ameryki? Czy można napędzać naród o takim kulcie dla dziecka jak japoński, by masakrował swe dzieci, gdy spoczywają one pod sercami matek? Czy człowiek może zalecać człowiekowi taki koszmar? Po co te kontyngenty tysięcy i milionów mordowanych przed urodzeniem dzieci kolorowych, które mają być składane na ołtarzu nowego bóstwa Nipponu, nazywającego się USA? W takim razie czy istniało kiedy bóstwo bardziej żądne krwi dzieci? bardziej dzieciożercze?

Czy taka akcja „humanitarna" i „pedagogiczna" jest godna admirała Pacyfiku? Cóż to za rodzaj „opieki społecznej", która zaleca zabijanie dzieci nienarodzonych? Czyżby świat, urządzony po amerykańsku, miał się kierować receptą: jeśli ci źle, to zabijaj dzieci, nim się urodzą, a będzie ci lepiej? Na co ten powrót do barbarzyństwa ludów pierwotnych?[10]). Czyżby aż tak prymitywnie miał się układać stosunek Amerykanina do dziecka kolorowego? Dziś — do kolorowego, jutro — do europejskiego?.. Czy naprawdę nie stać Ameryki kapiącej od złota i nadprodukcji, na bardziej ludzką opiekę nad kolorowymi? Po co to załamanie ducha Stanów? Czy kiedykolwiek bardziej poniżono sztandar gwiaździsty, niż gdy inspirowano niemoralne ustawy, a zwłaszcza tę... o zabijaniu dzieci? I gdy ustawy te się stosują?

CZY NIE MA WYJŚCIA?

Wprawdzie przeludniona Japonia liczy 182 ludzi na kilometr kwadratowy, ale przecież w kolorowym imperium francuskim wypada 9 ludzi na tenże kilometr, w Brazylii 5 ludzi, w Kongo 4, w Australii 1, w Kanadzie 1, w USA 13[11]), a razem te obszary liczą 85 milionów kilometrów kwadratowych, czyli z górą dwa razy tyle, co cała ogromna Azja. Gęstość zaludnienia tu podana, to stan z 1936 roku, dziś niewiele inny.

I ludzi mógłby glob wyżywić 5 razy tyle, co posiada, jak obliczali specjaliści (Fawcett, Kuczyński) przed wojną: byle istniał sprawiedliwy podział dóbr i terenów oraz panował pokój. Toteż z jakąż ulgą odetchnąłby każdy, gdyby Waszyngton dorósł do rozwiązań w wielkim stylu: na miarę narodu amerykańskiego — zamiast propagować... prezerwatywy i poronienia za pomocą „misyj" i „fachowców", których rady są na poziomie zboczeńców i kryminalistów.

„NULLUM CRIMEN SINE LEGE" A PRAWO NATURY

Problem tu poruszany ma głębokie korzenie. Oto od czasu upowszechnienia się świadomego macierzyństwa wśród narodów naszego kręgu kulturalnego, przyjęła się regulacja urodzeń, ale, niestety, osiągana najczęściej nie w harmonii z godnością ludzką, a więc nie za pomocą kultury panowania nad sobą, lecz w ułatwiony, nienaturalny sposób. Przy tym, żeby uśpić sumienia, zabijanie dziecka, nienarodzonego nazywa się niewinnie „przerywaniem ciąży". Ilość gładzonych tą drogą dzieci wynosi co rok grube miliony i sygnalizuje, u jak olbrzymiej liczby ludzi jest zamaskowany instynkt zbójecki i jak często nawet pacyfista wykorzystuje fakt, że i jego dziecko nie od razu się rodzi, więc zabija je przed przyjściem na świat. Czy narody pielęgnujące taką postawę wobec własnych dzieci, doprowadzą do pokoju? Czy matki, co zabijają część swych dzieci, nauczą żyjące swe dzieci szlachetnej postawy wobec człowieka? A przecież nikt w tej mierze nie wychowuje człowieka, co kobieta!

Jeśli miarą kultury jest postawa wobec słabszego człowieka, to jaki poziom kultury wykazują narody zabijające dzieci nienarodzone: któż bowiem jest słabszy, niż dziecko w łonie matki? A jeśli walka o pokój, to zwalczanie zboczeń hitleryzmu, istotą zaś hitleryzmu była przemoc wobec bezbronnego człowieka i rozróżnianie podludzi i nadludzi... dla dobra Niemiec, to jakże jaskrawo zdradza zapędy gestapowskie ten, kto wykorzystuje swą przewagę nad niewinnym maleństwem nienarodzonym, nie chce w nim uznać człowieka i odbiera mu życie?

A czymże jest embrion ludzki — z istoty swej, jak nie człowiekiem już od pierwszej chwili swego zaistnienia? W trzecim zaraz tygodniu bije w nim serce, po drugim miesiącu widać, jak całe dziecko porusza się, a gdy przerywać mu życie, to można zobaczyć, jak kurczy się ono i broni. Niszczenie embrionu, to niszczenie życia ludzkiego, to gwałcenie **prawa natury,** które brzmi: Nie zabijaj niewinnego człowieka! Dlatego zdrowy odłam świata prawniczego nigdy nie godził się na legalizację przerywania ciąży, a zdrowy odłam medycyny nigdy go nie praktykuje od czasów Hippokratesa. Toteż wykonywane w Japonii przerywania ciąży, choć zgodne z uchwałą parlamentu, nie przestają być zbrodniami, bo gwałcą **prawo natury.** Podobnie używanie środków zapobiegawczych gwałci **prawo natury.**

Przestępcy hitlerowscy tłumaczyli się przed Norymberskim Trybunałem Międzynarodowym, że w krajach przez siebie okupowanych postępowali nienagannie, gdyż zgodnie z obowiązującym ich prawem hitlerowskim. Tłumaczyli się więc, opierając się o zasadę prawniczą, że „nullum crimen sine lege" (nie ma zbrodni bez ustawy). Lecz nic im to nie pomogło. Trybunał skazał ich jako zbrodniarzy, ponieważ gwałcili **prawo natury,** a prawnicy określili od tego czasu, że masowe zabijanie przez hitleryzm ludzi, to „ludobójstwo". A czym jest przerywanie ciąży jak nie dzieciobójstwem. Cóż przeto, jak nie ludobójstwo, propagują Amerykanie w Japonii? Lecz gdzie za to odpowiadają?

SFINALIZOWAĆ ZASADĘ RÓWNOŚCI!

„Zawsze niektórym klasom społeczeństwa — pisze lekarz polski dr A. B. Henke[12]) — trudno było uznać w osobach z warstw słabszych — istoty ludzkie. Długie tysiąclecia nie uważano niewolnika za człowieka". Itd. „Podobnie zacofańcy XX wieku nie uważają dziecka nienarodzonego za człowieka, ponieważ nie jest ono... dość duże i dość... stare: tak jakby człowieczeństwo mierzyło się na metry. Dlatego według zacofanego ustawodawstwa wolno takie dziecko nienarodzone zabić „prawnie" dla wyższego dobra... jak kiedyś niewolnika. A jednak przyszedł czas, że niewolnik, chłop, robotnik — każdy — został uznany za człowieka: równego w prawach do życia i kultury — z drugimi. Owóż podobnie należy wziąć w obronę najsłabszą „klasę" ludzi: dzieci nienarodzone i położyć kres zabijaniu ich dla jakichkolwiek celów. Byłoby to ostateczne sfinalizowanie zasady równości między ludźmi, a tym samym zniesienie w ustawodawstwie i medycynie przerywania ciąży przez zakwalifikowanie go jako zabójstwa.

Byłoby to jednocześnie zastosowanie zasady Norymberskiego Trybunału — do dziecka nienarodzonego: że tylko ta ustawa w sprawie takiego dziecka jest godziwa, która jest zgodna z **prawem natury;** że tylko to jest moralne w rządzeniu narodami, co jest zgodne z **prawem natury".**

I tu przytacza doktór Henke świadectwa współczesnej biologii i etyki lekarskiej — deontologii. Czytamy więc opinie luminarzy medycyny europejskiej, a wśród nich głosy profesorów: ginekologa, doktora medycyny, prawa i filozofii A. Niedermeyer'a; ginekologa, doktora medycyny E. Hubert'a i ginekologa - chirurga, doktora medycyny G. Clément'a: że dopiero przy dzisiejszym poziomie wiedzy „etyka **naturalna** pokrywa się całkowicie ze stanowiskiem biologii", wobec czego „nic innego nam nie zostaje, jak uznać żywy płód ludzki za połączony z rozumną duszą, choć mamy tu do czynienia z nieświadomymi formami życia duchowego", i skutkiem tego przyznać, że przerwanie ciąży „jest i pozostanie zabiciem ludzkiej żywej istoty"[13]), że jest „dzieciobójstwem, niezgodnym z prawem natury, z moralnością i sprawiedliwością, a dziś można dodać — niezgodnym ze sztuką i wiedzą lekarską"[14]).

„Z drugiej strony — pisze doktór Henke — dopiero narody nam współczesne, dzięki przejściu na świadome dawanie życia, przekonały się na własnej skórze, jak nie prawdopodobnie doniosłą rolę — degenerującą lub odrodzeńczą — gra postawa wobec płodu ludzkiego. Zdumieni stwierdzamy, że „od samych ciemnych początków swego istnienia ta istota tak maleńka, mimo swej maleńkości, jest już rzeczą wielką, całkiem nieproporcjonalną do przestrzeni, którą zajmuje. Jest ona **osobą,** która ma własny cel i swoją niezależność, która więc nie może jak jakiś przedmiot materialny lub niewolnik, w myśl starożytnego prawa, być użyta za narzędzie lub środek dla dobra, korzyści, ani nawet dla ocalenia kogoś drugiego"[15]). Lub — jak mawiają lekarze radzieccy — nie wolno zabijać dziecka nienarodzonego, bo nie wolno zabijać przyszłego obywatela państwa[16]).

NA FORUM ONZ

Trudno uwierzyć, by Mac Arthur, zezwolił, na przykład, na ustawę zalecającą co roku... przerywanie życia — ze względów lekarskich i społecznych... pół milionowi japońskich dzieci **już urodzonych.**

Przechodząc znów na teren prywatny milionów małżeństw europejskich i amerykańskich, inteligentnych, kulturalnych, a... zabijających własne dzieci nienarodzone, zapytujemy: czy te małeństwa dopuszczałyby się zabijania swych dzieci **już urodzonych?**

A następnie: dlaczego te ustawodawstwa współczesne, które pozwalają na zabijanie dzieci nienarodzonych oraz tolerują mnóstwo tych zbrodni, nie pozwalają w żadnym wypadku na zabicie dziecka już urodzonego? Co jest przyczyną, że w wieku XX, nazywanym z dumą „wiekiem dziecka", zabija się jednocześnie nieprzebraną ilość dzieci nienarodzonych, czyniąc z naszego stulecia „wiek dzieciobójstwa"? Wiadomo: przyczyn jest wiele, lecz prawniczo i wychowawczo są dwie: nie zrównano dotychczas w prawach do życia — dziecka **jeszcze nieurodzonego** — z dzieckiem **już urodzonym,** tudzież nie uświadomiono światu tej równości. A któryż z ludzi jest idealniej bezbronny, idealniej niewinny i na czyje dziś życie czyha częściej zabójca, czyjegoż więc życia trzeba najsilniej bronić: czyż nie życia człowieka nienarodzonego? Nawet odezwać nie może się on w swej obronie.

Skąd zaś winno wyjść to ustawodawcze pouczenie dla ludzkości? Z Organizacji Narodów Zjednoczonych. Komisja Praw Człowieka musi w ONZ uzupełnić „Deklarację Praw Człowieka" — „Deklaracją Praw Człowieka Nienarodzonego". Orzekałaby ona uroczyście, że człowiek nienarodzony, w każdym stadium swego rozwoju, ma równe prawa do życia — z człowiekiem już urodzonym.

Naród, który wniesie ten projekt i dopilnuje wprowadzenia go do ustawodawstwa wszystkich państw, nauczy ludzkość szacunku dla najsłabszej „klasy" ludzi: człowieka nienarodzonego. Wpływ wychowawczy tego szacunku ma perspektywy nieobjęte: bo czyż może być inicjatywa bardziej wychowująca serce ludzkie? A zatem: czy to nie jedna z dróg do pokoju? Do trwałego pokoju. Czyż bowiem narody, odświeżające stale wśród siebie zbrodniczy stosunek do własnych dzieci, mogą jednocześnie wydobyć z siebie szlachetniejszą postawę w stosunkach społecznych i międzynarodowych?

Z kolei zaś, tylko wielkie uszlachetnienie postawy ludzkiej wobec życia — umożliwi narodom regulację urodzeń jedynie godną człowieka, bo osiąganą za pomocą kultury panowania nad sobą. Ale to już zagadnienie specjalne: z zakresu kultury życia małżeńskiego.

Walenty Majdański

---

[10]) Dzieciobójstwo, czy to jako poronienie, czy zabicie dziecka już urodzonego, to zwyczaj ludów pierwotnych, opisany u nas przez L. Krzywickiego: „Społeczeństwo pierwotne, jego rozmiary liczebne i wzrost".

[11]) W dniu 1.I.1949 16 na km. kw.

[12]) „Lekarz, dziecko, populacja", 1948, strony 59, 60.

[13]) „Sexualethik und Medizin", strony 32, 33.

[14]) „Le Devoir du Médecin", strona 64.

[15]) „Le Droit de l'Enfant à Naitre", strona 119.

[16]) „Nowiny Lekarskie", r. 1946 z dn. 15.VI. Poznań.
Przerywania ciąży zabroniono z dn. 27.VI.1936.

Stefan Kisielewski

JAK POJMUJĘ LIBERALIZM

(W odpowiedzi Kazimierzowi Koźniewskiemu)

Odpowiedź Kisielewskiego drukujemy z tą samą uwagą co recenzję Koźniewskiego. W wielu poglądach zgadzamy się z Kisielewskim, w wielu natomiast zespół nasz posiada inne zdanie, znane dobrze naszym czytelnikom.

Redakcja

Początkowo zamierzałem nadać niniejszemu artykułowi tytuł inny. Tytuł ten brzmiałby: „Błędy Koźniewskiego". Koźniewski popełnił ich bowiem wiele w artykule swoim, nazwanym pięknie „Księgą jego rozczarowań" (Dziś i Jutro Nr 21). Artykuł ów jest recenzją z mojej książki „Polityka i sztuka" — recenzją? której rozmiary i ton bardzo są dla mnie pochlebne, ale która jednak interpretuje moje poglądy opacznie, usiłując wtłoczyć je w fałszywy i sztuczny schemat. Z recenzją polemizować nie wypada, natomiast sprostowanie błędów i nieporozumień wydaje się rzeczą konieczną, obowiązkiem wobec czytającej publiczności.

Poglądy Koźniewskiego w mojej materii streścićby można następująco: Kisielewski jest produktem epoki burżuazyjnego liberalizmu, epoki, w której, dzięki sprzyjającej koniunkturze, pewna warstwa czy klasa społeczna uzyskała dobrobyt materialny i, co za tym idzie, poczucie wolności. To poczucie wolności, zarezerwowane zresztą wówczas tylko dla tej właśnie klasy, ukształtowało jej styl życia i jej wyobrażenie o świecie, jej liberalistyczny pogląd na kulturę i sztukę, jej smak i upodobania. Jednakże okres XIX-o wiecznej koniunktury kapitalistycznej skończył się bezpowrotnie: przyszła epoka nowa, epoka operująca „wielkimi masami ludzi, która wskutek tego stała się epoką nadzwyczajnych sprzeczności ekonomicznych, gospodarczych, społecznych, a co za tym idzie, epoką wielkich przemian ustrojowych (słowa Koźniewskiego). Tymczasem ludzie w rodzaju Kisielewskiego, wychowani w atmosferze „burżuazyjnej wolności", opanowani są lękiem przed socjalizmem i w ogóle przed rozstrzygnięciami zasadniczymi, całościowymi, które grożą im zniszczeniem ich indywidualistycznego stylu życia i myślenia. Z drugiej strony jednak ludzie ci widzą, że przeszłość minęła bezpowrotnie i że trzeba jednak, jeśli nie chce się zostać „byłym człowiekiem", desperatem czy bankrutem, zgłosić akces do jakiegoś rozwiązania całościowego. Benda i Paweł Hertz zgłosili się do komunizmu, Kisielewski natomiast wybrał najbardziej dla siebie strawne z całościowych rozstrzygnięć, wybrał mianowicie... totalizm katolicki. Przez to wyparł się swych poglądów, przestał być liberałem, to jest jego „zdrada klerka". Ale nie wiele mu to pomoże, bowiem totalistyczny z ducha Kościół nie ma zaufania do takich przymusowych neofitów i czując pod nową sukienką starą skórę liberała wzdraga się uznać go za swego.

Tyle Koźniewski. W polemice z nim pominę dwie wyraźnie usiłujące mnie zdeprecjonować inwektywy. Pierwsza, to zawarte **inplicite** w artykule jego twierdzenie, że sprawy religii są mi w istocie obojętne, interesuję się zaś wyłącznie ich konsekwencjami politycznymi. Druga inwektywa głosi, że kierują mną motywy osobiste, mianowicie chęć obrony własnego, zagrożonego rzekomo, indywidualistycznego stylu życia. Inwektywy te pominę, bo po pierwsze wydaje mi się, że są one u Koźniewskiego produktem ubocznym i mało przemyślanym — zbyt są, jak na jego publicystykę demagogiczne i wulgaryzatorskie; po drugie pominę je, gdyż wkraczają w sferę życia prywatnego, co dla nikogo nie może być interesujące.

Chodzi mi o Koźniewskiego błąd pryncypialny, błąd zresztą popełniany u nas często, a będący właściwie, ciekawa rzecz, wynikiem nieporozumienia wyłącznie terminologicznego. Oto Koźniewski **stawia znak równości pomiędzy liberalizmem a kapitalizmem**, podczas kiedy dla mnie są to pojęcia zgoła przeciwstawne.

Czym jest w założeniu liberalizm? Jest ideologią, stawiającą na pierwszym miejscu wolność jednostki i to wolność w każdej dziedzinie: wolność gospodarczą, wolność kulturalną, wolność światopoglądową, wolność, polegającą na możliwości dokonania wyboru własnego stylu życia i, co więcej, **zrealizowania tego wyboru.** Czym zaś jest kapitalizm? Ustrojem, stanowiącym dokładne zaprzeczenie wolności indywidualnej, ustrojem w którym jednostka jest zdeterminowana gospodarczo aż do granic niewolnictwa, w którym jej prawa i styl życia ustalane są przez wielkie trusty i koncerny, w którym tzw. „wolny rynek" nic wspólnego z wolnością nie ma, znajdując się w rzeczywistości pod absolutnym dyktandem władców przemysłu i giełdy. Zaiste — ustrój wielkokapitalistyczny niewiele ma wspólnego z wolnością jednostki, czyli z tym, co stanowi istotę, założenie liberalizmu.

W tym miejscu nasuwa się nieuchronne pytanie: skąd pochodzi nałóg utożsamiania liberalizmu i kapitalizmu, pojęć, jak powyżej stwierdziłem, przeciwstawnych. Genezy tego nałogu szukać należy, w historii XIX wieku: kapitalizm wyrósł z liberalizmu, który dla realizacji swych ideologicznych założeń posłużył się niewłaściwymi środkami. W XIX wieku sądzono, że najlepszym środkiem do osiągnięcia wolności jednostki ludzkiej w społeczeństwie będzie **nie interwencjonizm** państwa w sprawach gospodarczych („leisser faire"). Tymczasem środek ten okazał się zgubny: pozostawiono jednostkę na pastwę gospodarczych rabusiów i wyzyskiwaczy, dopuszczono do koncentracji środków produkcji i kapitałów w niewielu rękach; w ten sposób uformowała się przemoc i tyrania bogactwa. Przez zastosowanie niewłaściwych środków działania ustrój w założeniu liberalistyczny (nie zapominajmy, że słowo to semantycznie pochodzi od słowa **wolność**) przekształcił się w ustrój stanowiący zaprzeczenie wolności w ustrój niewolniczy. Środki były złe, trzeba je zmienić — ale czyż z tego wniosek, że ideał wolności przestał być ideałem?!

Oczywiście — nie! Wylewając brudną wodę zostawmy jednak w wannie dziecko. Wolność, w ustroju kapitalistycznym zarezerwowaną dla pewnej klasy należy **upowszechnić** — wadą jej było po prostu to, że była dostępna tylko dla bogatych — ale przez to nie przestała być wolnością. Styl życia np. arystokracji angielskiej lub patrycjatu mieszczańskiego w XIX wieku niewątpliwie zawierał w sobie wiele elementów prawdziwej wolności — grzechem śmiertelnym jego było jednak to, że stanowił przywilej nielicznych. Malarstwo, muzyka, literatura stworzone na tle XIX-o wiecznego liberalizmu nie przestały być wielkie i ważne — trzeba tylko wyprowadzić je z mieszczańskich salonów — na ulicę. Chopin tworzył wśród arystokratów i bogaczy, przez co muzyka jego nie przestała być wielka — trzeba tylko udostępnić ją wszystkim. **Upowszechnienie wolności** w każdej dziedzinie, wolności w XIX wieku możliwej tylko dla niektórych grup społecznych — oto jak określiłbym założenie ideowe współczesnego liberalizmu.

Jak je zrealizować? Wydaje mi się, że historia wieku XIX i jej późniejsze konsekwencje wskazały nam wyraźnie, jak realizować nie należy. Nie-interwencjonizm gospodarczy państwa okazał się środkiem błędnym, prowadzącym do rezultatów wręcz odwrotnych — wniosek z tego prosty: należy sięgnąć do środka przeciwnego — **do interwencji państwa na rzecz wolności jednostek.**

Jak z kolei ma wyglądać ta interwencja? Na czym będzie ona polegać? Po prostu państwo, jako instrument broniący wolności gospodarczej obywateli musi wciąż czuwać, aby jakieś zrosty gospodarki prywatnej w większe całości nie zagroziły wolności jednostkowej; jeśli chodzi o te dziedziny gospodarki, które z natury rzeczy zarządzane być muszą całościowo (koleje, elektryczność, ciężki przemysł) — państwo, przeciwdziałając wpadnięciu ich w ręce prywatne, musi, w interesie wolności obywateli, przejąć je. Tutaj tkwi zasadnicza różnica pomiędzy doktrynerskim, nie interwencyjnym liberalizmem XIX-owiecznym, a wykorzystującym tragiczne doświadczenia przeszłości liberalizmem naszych czasów. Państwo broni obywatela przed niewolą kapitalistyczną. Poza obroną najkonieczniejszą, poza kluczowymi ośrodkami wytwórczości, państwo pozostawia obywatelom inicjatywę i wybór form życia gospodarczego i wszelkiego innego, pozostawia wolny rynek synchronizując jednak jego działalność z działalnością ośrodków gospodarki państwowej i, z drugiej strony, broniąc jego wolności przed prywatnymi egoistami. Państwo jest zatem wiecznie czujnym mediatorem, działającym na korzyść **wszystkich** grup społecznych, a nie na swoją. Synteza wolności i autonomiczności jednostek z planowym ładem całości, zupełna wolność w wytyczonych granicach, granicach rozsądku, równowagi i bezpieczeństwa społecznego — oto jak rysuje mi się koncepcja nowoczesnego państwa liberalistycznego.

Za poplecznika czy realizatora takiej koncepcji skłonny byłbym dziś uznać Kościół Katolicki. Dlaczego? Z szeregu powodów. Po pierwsze: Kościół nie jest obciążony żadną sprecyzowaną i wypróbowaną doktryną gospodarczą, ma natomiast bardzo skrystalizowane postulaty moralne, wśród których wolna wola jednostki i jej prawo swobodnego wyboru rozstrzygnięć życiowych nie poślednią odgrywają rolę. Kościół jest przeciwny kapitalizmowi, potępia bowiem nadmierny rozrost ludzkich przewag wzajemnych, naruszających przeprowadzony ład, ład Boży na ziemi — z drugiej strony jednak wie, że przewagi człowieka nad człowiekiem nigdy całkowicie usunąć się nie da, przewaga materialna bowiem nie jest bynajmniej jedyną formą międzyludzkiego ucisku. Brak obciążenia ortodoksalną i jednostronnie sprecyzowaną doktryną ekonomiczną czyni z Kościoła jako instytucji społecznej podatny instrument do protegowania rozwiązań kompromisowych, opartych na stałym „balansie" społecznym — zaś do takich rozwiązań należy niewątpliwie rozwiązanie sformułowane powyżej. W tym, ogólnikowo naszkicowanym, ujęciu współczesnego liberalizmu nie widzę nic antykatolickiego, nie wiem też, na jakiej zasadzie określa Koźniewski społeczny odpowiednik katolicyzmu jako ustrój sprzeczny z zasadą wolności jednostki, zasadą, na której opiera się przecież cała chrześcijańska dialektyka moralna. Że katolicy nie lubią słowa liberalizm? To przypisać można w dużym stopniu mylącym parantelom historycznym — jeśli parantele te nazbyt już termin „liberalizm" obciążają, gotów jestem zrezygnować z niego na rzecz innego, nowego: nie chodzi o termin, lecz o jego dzisiejszą treść. Wszak jedynie burżuazyjne parantele tego słowa dały Koźniewskiemu okazję do napisania bałamutnego artykułu: uwolnienie się od natrętnej sugestii kojarzeniowej może by temu zapobiegło.

Spodziewam się, jak zarepliku je Koźniewski. Powie zapewne, że cała ta „neoliberalistyczna" koncepcja to utopia, nie wytrzymująca konfrontacji z dialektyką rozwoju współczesnej techniki, warunkującą rozwiązania bezkompromisowe, koncentryczne i całościowe. Odpowiem na to, że utopia ta miała już swoją udaną próbę realizacyjną: był nią słynny **Nev Deal**, zapomocą którego Roosevelt przezwyciężył najgroźniejszy z dotychczasowych amerykańskich kryzysów kapitalistycznych. Półśrodek? Nikt dotąd nie udowodnił, że „całe" środki przynoszą aktualnie większą korzyść niż półśrodki, zaś półśrodki aplikowane często i umiejętnie mogą właśnie — ocalić jednostkę. Chodzi przecież o jednostkę, o człowieka, masa jest zbiorowiskiem jednostek — nie zbawimy świata, póki nie wyciągniemy konsekwencji z tej prawdy. Jeśli zaś chodzi o rozwój techniki, to niebywałe jego tempo otwiera właśnie zupełnie nowe perspektywy ustrojowe: możliwość kolosalnej produkcji przy zatrudnieniu niewielkiej ilości sił roboczych przekreśla często kroć konwencjonalne proporcje i centralistyczne nałogi myślowe. To zresztą jest osobny i niezwykle rozległy temat, o który zaledwie tu potrącam — horyzonty jego odsłonił nam niedawno w błyskawicznym skrócie prof. Witold Rybczyński („U progu nowej epoki" „Tygodnik Powszechny" nr. 20).

Moje pojmowanie współczesnego liberalizmu opisałem tu ogólnikowo i dorywczo — w miarę swych możliwości. Daleko mi do tej precyzji, bogactwa i przenikliwości, cechującej sformułowania najwybitniejszego współczesnego ideologa „neoliberalizmu" — Wilhelma Röpkę, z którym bardzo radziłbym się zapoznać każdemu, kto może. Z upodobaniem wczytywał się w nie niegdyś również i Kazimierz Koźniewski — dziś oskarża mnie o „zdradę klerka". Nie wiem kto kogo tu zdradził: ja osobiście nie zmieniłem dotąd poglądu, że najwyższym z doczesnych, możliwych do osiągnięcia ideałów jest — wolność.

Stefan Kisielewski

Witold Łaszczyński (1872–1949)

22 maja zmarł w Pruszkowie ś. p. Witold Łaszczyński, jeden z ostatnich romantyków w poezji i zapewne ostatni z owych paziów „królowej ideału" — Deotymy, z jej sławnych wieczorów czwartkowych.

Znali go dawni bywalcy akademii, koncertów, went i zebrań literackich, wreszcie z widzenia znali go również przechodnie; typ dawnego poety: chudy, wysoki z długimi włosami.

Witold Łaszczyński wiódł kawalerski żywot. Zasiedział się przez lat kilkadziesiąt w starej kamieniczce na placu Zamkowym wrósł w tę dzielnicę, pokochał ją. W minionym świecie bohaterów znanych i nieznanych lokował swój pisarski talent, swoje marzenia i rymy. Nie eposy wprawdzie ale i nie fraszki.

W 1902 r. jest Łaszczyński kierownikiem literackim „Naszych Kłosów". W czasach tzw. „wolnościowych" (1906) staje się założycielem i dyrektorem popularnego „Teatru Młodzieży Pracy". Po przełamaniu wielu trudności formalnych teatr zostaje przekształcony na „Towarzystwo Teatralne Warszawskie im. Wojciecha Bogusławskiego".

Teatr Łaszczyńskiego cieszy się wielkim powodzeniem i zbiera sukcesy przez lat kilkanaście. Łaszczyński jest wszystkim w swoim teatrze: prezesem, dyrektorem i reżyserem.

W sezonie letnim trupa Łaszczyńskiego objeżdża miasta gubernialne i powiatowe Kongresówki.

„T-wo Teatralne Warszawskie" w ciągu 10-cio letniej działalności dało przeszło 500 przedstawień i około stu koncertów. Z górą 40 sztuk popularyzowało historię polską, poezję i muzykę. W 1924 r. Witold Łaszczyński jest w gronie czołowych założycieli Tow. „Młoda Polska" (przemianowanego później na „Młodą Polskę Społeczną") skupiającego młodzież akademicką i inteligencję, gdzie również organizuje obchody ku czci sławnych literatów i muzyków polskich.

Poetycki dorobek W. Łaszczyńskiego rozproszony po różnych dziennikach i tygodnikach uczyniłby kilka grubych tomów. W wydaniach książkowych wyszły tylko 3 tomy zbiorów poezji z tych „Wysoki Próg" w dwóch wydaniach. Łaszczyński tłumaczył w spółce literackiej z Marią Konopnicką i Włodzimierzem Zagórskim znanego nam z wielkiej sceny rostandowskiego „Cyrana", tłumaczył Goethego, Schillera, i innych.

W swej pracy społecznej był On bezinteresowny i ofiarny. W celu zdobycia środków do życia i pomagania potrzebującym, przed pierwszą wielką wojną pracował w biurze kolejowym w czasach zaś międzywojennych w biurze Sejmowym jako korektor i specjalista od tłumaczeń tekstów i pism w obcych językach.

Nie stanął mocno w karierze życiowej nie chciał być znanym i usytuowanym — nie rozpychał się łokciami. W powstaniu warszawskim stracił dach nad głową i wszystko co posiadał. Zgasł cicho w Pruszkowie w skromnej stancyjce udzielonej mu przez zacnych i uczynnych ludzi. Zwłoki jego spoczęły w grobie rodzinnym na Powązkach.

Jan Szczepkowski

Prasa zagraniczna o Bernanosie

Przed kilku dniami ukazała się na półkach księgarskich książka Jerzego Bernanosa „Pod słońcem sztana". Książka wydana nakładem Spółki Wydawniczej „Pax" jest pierwszą z zamierzonej serii książek o problematyce katolickiej.

Poniżej przedrukowujemy kilka recenzji zagranicznych, omawiających twórczość Bernanosa w związku z jego zgonem. Sądzimy, że czytelników naszych prace te zainteresują twórczością znakomitego pisarza katolickiego, postaci prawdziwie dramatycznej.

Oczywiście nasz entuzjazm ideologiczny do Bernanosa ogranicza się do dwóch jego dzieł „Pamiętników wiejskiego proboszcza" i „Pod słońcem szatana".

W innych książkach wydaje się nam, że Bernanos był zwolennikiem poglądów nie zawsze dojrzałych, politycznie nieprzemyślanych i zagubionych w negacji.

„La Bataille" 7 lipiec 1948
Georges Bernanos — Francois Quilci (?)

„Znając szlachetność i zepsucie natury ludzkiej Bernanos odrzucił banalne i konwencjonalne słowa, śmiejąc się z nich głośno i szczerze. Gwałtowny i skłonny do gniewu nie znał słabości i roztkliwiania się. Strach nie miał dostępu do tego człowieka prześladowanego myślą o grzechu. Bernanos nie należał do tych miękkich chrześcijan, którzy w religii szukają pociechy i ucieczki przed życiem. Gdyby żył w dawnych czasach, to tak, jak biskup Turpin, przywdział by zbroję i wziął miecz w jedną rękę a pastorał w drugą. Dzieła jego przepojone są nieubłaganą surowością, a jednocześnie ciągle powraca w nich z wielką pokorą do zagadnień natury ludzkiej i miłosierdzia.

„Jak większość ludzi w moim wieku, pisał Bernanos, patrzę śmierci w twarz z radosnym wyzwaniem, tak, z intymną i głęboką radością, która przekreśla wszelki strach". Dorzucał jednak natychmiast: „Te rzadkie chwile łaski nie wymazują nam jednak z pamięci faktu, że znacznie częściej odwracaliśmy oczy od tego żałobnego gościa, niż rozmawialiśmy z nim". Opatrzność była dla niego łaskawa. W momencie śmierci udzieliła mu jednej z tych chwil łaski. Umarł nie bojąc się, przytomny i pogodny".

Bernanos spędził okres drugiej wojny światowej w Brazylii. Tam za oceanem przeżywał wewnętrznie hańbę i męczeństwo Francji tak samo, jak jego rodacy w kraju.

„Na dalekiej, tropikalnej pustyni ten wizjoner, który „nie widział na własne oczy swego kraju powalonego w strumieniu hańbiącego pokoju, wymiotującego nierozpoznawalne resztki dawnego zwycięstwa", myślał tak, jak myśmy myśleli, oburzał się tym, czym myśmy się oburzali, a czego często nie umieliśmy wyrazić. On to wyrażał doskonale. Gwałtownymi, palącymi jak lawa, wybuchającymi jak błyskawice i posępnymi słowami tłumaczył nasze pobudki, odkrywał inne, nam samym nie znane, i wypowiadał nasz bunt, nasz wstręt i nasze nadzieje. Nawet żarty i niejasności jego urywanych zdań i sprzeczności w rozumowaniu znajdowały w nas swój oddźwięk, bo odpowiadały niejasności naszych własnych nastrojów i wahaniom, których nie umieliśmy wyrazić. Jego namiętne inwektywy i dzikie obrazy wrażały upokorzenia, cierpienia i tortury, które przeżywała Francja w niewoli...

Można śmiało powiedzieć, że Bernanos był głosem sumienia narodowego...

Bernanos był bezlitosny dla „głupców", a wymagający dla bohaterów i świętych. Samotnie szedł swoją drogą zadając ciosy na prawo i lewo. Do końca życia pozostawał sam na tej drodze...

„Nic nie obchodzi mnie więcej, niż nieszczęście mojej ojczyzny, i konanie chrześcijaństwa" pisał. I bez wątpienia temu nietolerancyjnemu duchowi wystarczyło za całą zapłatę za wszystkie jego trudy i wysiłki wdzięczności chłopaka, umierającego na piaskach Libii czy w gąszczach leśnych, za usprawiedliwienie i obronę jego buntu i poświęcenia przeciw „rozsądnym" ludziom.

„Złożyłem całą moją nadzieję, pisał Bernanos, w ręce młodzieży francuskiej".

O sobie samym mówił: „Jestem jednym z tych Francuzów, którzy we wszystkich epokach uchodzili za nieznośnych ludzi, którymi nie sposób jest rządzić, aż wreszcie wychowawcy znaleźli dla nich nazwę indywidualistów. Przyznaję, że byli oni indywidualistami, ale nie siedzieli z założonymi rękami. Przez tysiąc lat ci indywidualiści podtrzymywali jedną z najsławniejszych i najszlachetniejszych społeczności w historii".

Śmierć Bernanosa
Thierry Maulnier w „Le Figaro Litteraire", 10 lipiec 1948

Georges Bernanos nie należy do kategorii pisarzy, którzy spotykają się z ogólnym uznaniem i poparciem. Twórczość jego jest trudna, gwałtowna, a dla tych, których nie łączy z autorem wspólna myśl i wiara czy podobieństwo temperamentu, utwory Bernanosa są niezrozumiałe. Bernanos był człowiekiem gwałtownym, nierównym, drażliwym, nieprzejednanym, niespokojnym. Jego wielki zapał łatwo przechodził w gniew. Nikczemności jego czasów, które piętnował z taką siłą, i osobiste animozje często błahe lub niesprawiedliwe budziły w nim prawie tak samo gwałtowne oburzenie. Cechowała go zaczepność czasami wprost obraźliwa, a reakcje jego często były niesprawiedliwe. Namiętność jednak rzadko bywa sprawiedliwa, a Bernanos był właśnie jednym z tych namiętnych duchów, w stosunku do których nie można być obojętnym. Nie wielu ludzi w naszych czasach wzbudziło jednocześnie tyle oburzenia i tyle zachwytu, co autor „Pod słońcem szatana". Tego człowieka, którego jedni uwielbiali inni nie znosili. Jedni wprost nie mogli czytać jego utworów, które inni oceniali jako najbogatszą strawę duchową. Bernanos często swoich przyjaciół niepokoił, a przeciwników zmuszał nieraz do podziwu traktując ich jednocześnie bardzo ostro.

Talent pisarski Bernanosa jest wspaniały. Zarówno jego powieści, jak i pisma polityczne cechuje ten sam liryczny akcent, ta sama posępna, wyzywająca elokwencja, pełna zagmatwanych zagadnień, często rozświetlana błyskawicami. „La Grande Peur de Bien-Pensants" i „Les Grands Cimetieres sous la Lune" są może najprzystępniejszymi z jego dzieł. Odznaczają się wspaniałą gwałtownością i popędliwością stylu służącymi wzniosłej i bezkompromisowej idei. Odrzuca tu Bernanons wszelkie ustępstwa co w konsekwencji prowadzi niejednokrotnie do odrzucenia subtelności i cieniowania. Kilkoma stanowczymi pociągnięciami pióra potępia i unicestwia „realizm" polityków, głupotę tłumów, faryzeizm prawicy, materializm lewicy, tępotę konserwatystów, mity o postępie, obłędny liberalizm demokratyczny, skazany na zagładę. Bernanos czuje, że jego oparciem jest garść świętych, bohaterów i uprzywilejowanych istot, w których żyje prawie dziecinna czystość i wdzięk. Dawał argumenty wszystkim partiom, nie zajmując się zupełnie rozgrywaniem ich na czyjąkolwiek korzyść. Jedną z form jego wielkości był fakt jego nieprzydatności pod tym względem.

Wielu czytelników woli jego powieści „Pod słońcem szatana", „L'Imposture", „Radość", „Pamiętniki wiejskiego proboszcza", „Monsieur Ouine". Powieści te są trudniejsze bardziej, tajemnicze i mniej dla czytelnika zrozumiałe. Oryginalność ich bardziej rzuca się w oczy, a metafizyczne tajemnice bytu ludzkiego przedstawione są z wnikliwością i siłą olśnienia, na które nawet niewierzący nie może pozostać obojętny.

Bernanos — pamflecista przypomina wielkich polemistów i walczących pisarzy katolickich XIX wieku, jak Veuillot, Drumont, Bloy, Barbey, tych, których był następcą. Bernanos — powieściopisarz nie przypomina nikogo. Jest sam pośród świata, który do niego należy. Świata mroków, zaludnionego potworami, w którym prawie zabijająca łaska olśniewa nagle tam, gdzie się jej nie oczekuje.

W dziedzinie polityki Bernanos nie dał się zasymilować żadnej partii. W dziedzinie literatury zaś nie można go zaliczyć do żadnej szkoły i dotychczas nie ma on następców. Z trudem właściwie można go zaliczyć do naszej epoki, której przeciwstawiał się z całą siłą swojego potępienia, całą mocą swoich inwektyw, całą swoją dumą, wiarą, pragnieniem czystości i tajemniczością, którą otoczył swoich bohaterów. A jednak rozwiązywał wiele problemów tych czasów, trafiając do wrażliwości i umysłów wielkiej części młodzieży roku 1930. Bernanos był w pewnym sensie obcym temu stuleciu. Jakby nie w porę przybyłym, uważnym, surowym obserwatorem, krępującym świadkiem i gwałtownym sędzią podłości i przyziemności, patetycznym obrońcą wielkości ludzkiej. Zalety i wady człowieka i dzieła jego są równie widoczne, a tworząc nierozerwalną całość przemawiają do nas z nieprzepartą siłą.

Nowowydana powieść

„Katolicyzm „Sous le Soleil de Satan" jest katolicyzmem głębi. Dlatego z tej książki Bernanosa czynimy pierwszą programową pozycję naszego wydawnictwa" oto początek przedmowy Wydawnictwa do nowo wydanej powieści Bernanosa pt. „Pod Słońcem Szatana".

Zamiejscowi nasi czytelnicy mogą ją zamawiać za pośrednictwem administracji „Dziś i Jutro" wpłacają jednocześnie 950 złotych za egz., na konto PKO — I 8515.

Modlitwa Georges Bernanos
„La Gazetta de Lettres" 14.5.49

„La Gazette de Lettres" 14.5.49.

Zaledwie niecały rok minął od śmierci Georges Bernanosa. Za wcześnie jest więc na obiektywną ocenę jego twórczości. Aby wyróżnić te jej cechy, które przetrwają próbę czasu — trzeba większej perspektywy. Tymczasem dopiero bardzo niedawno zapoznaliśmy się z ostatnią książką Bernanosa „Les Enfants humilies". Książka ta zawiera długie rozważania pisane w Brazylii podczas wojny, w okresie ciągłych zmian zachodzących na świecie.

Żadna z dotychczas wydanych prac o Bernanosie, ani doskonałe stiudium Gaetana Picona, ani poszczególne essaye czy dokumenty zebrane przez Alberta Beguin nie starały się bynajmniej przedstawić ostatecznej syntezy. Rezultatem i ambicją tych opracowań jest niejako przedłużenie życia Bernanosa, jego obecności pośród nas. I jeśli odpowiada on jeszcze na nasze wezwania głosem serdecznym, przenikającym do głębi duszy, to nie dlatego, że śmierć go przeobraziła, lecz dlatego, że nie zniszczyła go jeszcze całkowicie.

Pierwszą cechą, która nas uderza, gdy zastanawiamy się nad Bernanosem, jest jego intensywność. Bernanos jest człowiekiem czuwającym, jest uosobieniem natężonej siły. Wydaje się, że uświadomienie sobie tego jest zasadniczym przeżyciem tego pisarza. „To straszliwe umiłowanie życia, to straszliwe pragnienia życia.... którego nigdy w sobie nie zdusimy" pisał w „La Grande Peur de Bien Pensants".

„Gdy umrę powiedzcie słodkiemu Królestwu Ziemi, że kochałem je więcej, niż odważyłem się kiedykolwiek to wypowiedzieć", zwierza się w dedykacji umieszczonej jako motto w poświęconym mu numerze „Cahier Rhones".

Polityce konserwatystów, „dobrze myślących" zarzucał przede wszystkim bezruch. Ten właśnie bezruch, brak woli życia, niemożliwość przyjęcia powołania uważał za najgroźniejszą chorobę współczesnego świata. Powołanie jest wezwaniem; ażeby odpowiedzieć na wezwanie — trzeba się wprawić w ruch. Kiedy pisał o tej chorobie cisnęły mu się pod pióro obrazy zimna, pustyni, zamarzniętej wody, przejrzystej i nieruchomej.

Wiara Bernanosa w żywotność głębi nie ma w sobie ani nic narodowego ani nawet chrześcijańskiego. Wiara ta mogłaby równie dobrze być pogańska; u niego jednak jest instynktowna.

Gdy czytamy jego książki, poddajemy się przede wszystkim sile jego wymowy, potem dopiero zastanawiamy się nad treścią. Jego opowiadania, jego postacie przytłaczają nas. Pozwalmy mu się prowadzić, nie rozumiejąc często dokąd zmierza i nie obruszając się na to. Ulegamy jego wielkiej żywotności.

Słabe momenty w powieściach Bernanosa nie są niezręcznością autora ani tym bardziej potknięciami. Są to luki, miejsca, których nie podtrzymuje jego siła.

Nie należy brać zbyt dosłownie opinii Bernanosa. Popełniał błędy, robił głupstwa, wyrażał krańcowe sądy i na pewno sam przyznałby, że w chwili podniecenia siła ponosiła go znacznie dalej niż myśl.

Stąd też jednym z najważniejszych i najtrudniejszych problemów dla tego miłośnika życia było pogodzenie tej siły z dwoma jego największymi uczuciami: miłością do Francji i do chrystianizmu.

Miłość do Francji pogłębiły w nim doświadczenia z czasów pierwszej wojny światowej, codzienna męka w błotnistych okopach, widok trupów młodych chłopców, rozkładających się o kilka kroków od niego. Wspomina te przeżycia w „Les Enfants humiliés" („Wracamy do wojny, tak jak się wraca do domu swej młodości...").

Chrystianizm jednak jeszcze głębiej przeniknął jego istotę. Bernanos pragnął pozostać całe życie takim, jakim był w okresie swojej Pierwszej Komunii św., chciał być wiernym „prawdziwemu sercu małego chłopca". Z całej duszy pragnął zachować tę wielką siłę żywotną w stanie łaski otrzymanej przy chrzcie świętym, był jedną z tych dusz, dla których chrystianizm jest trudnym ćwiczeniem duchowym. Trudność życia — to dla niego przede wszystkim trudność życia po chrześcijsku. Podobnie jak Pascal nie uległ romantyzmowi, nie mówił o „zwątpieniach czy nawróceniach". Całkowita chrystianizacja swej natury tak, aby nie stracić nic z tego, co jest wartościowe, aby nie zatrzymać się w połowie drogi, jest być może zasadą chrześcijańskiej bojaźni Bożej. U Bernanosa jednak, tak jak i u Pascala, nie jest to walka z ogarniającą człowieka rozpaczą, ale droga prowadząca do świętości.

Myśl Bernanosa ani przez chwilę nie wykracza poza granice chrystianizmu, wie on jednak, że dla chrystianizmu właśnie musi opanować swoją ogromną siłę. I dlatego ten człowiek wiecznie czuwający uważa, że walka musi objąć najgłębsze tajniki życia duchowego. Ponieważ musi w ten sposób naginać swoją siłę, przyznaje tak dużą rolę szatanowi. Paul Claudel w jednym ze swych esseyów zauważa, że postacie powieści „Pod słońcem szatana" boją się diabła. Jest to według niego niezgodne z poglądami chrześcijańskimi, bowiem chrześcijanin nigdy diabła się nie bał: diabeł jest zbyt głupi, aby trzeba się go było bać. Dla niekatolika, jak np. dla mnie, zagadnienie strachu przed „szatanem" w ogóle nie istnieje; jeśli bowiem szatan jest złem, to ten, kto ma na to

ochotę, może mu się oddać bez żadnej obawy. Może jednak nieodczuwanie strachu przed diabłem jest dla chrześcijanina niedocenianiem go, czy nawet podawaniem w wątpliwość jego istnienia. a więc podawaniem w wątpliwość rzeczywistego istnienia zła. Wiem, że Piotr poleca czuwanie, nie zaś strach przed tym, który krąży jak ryczący lew „ quaerens quem devoret". Może właśnie dlatego, że Claudel, tak jak ów generał w „Mariés de la Tour Eiffel" nie bał się dostatecznie tego lwa, stał się olśniewającym prorokiem bigotów z zakrystii. Bernanos mówi o takich ludziach w „Les Enfants humiliés": „urzędnik i parafianin, ugalowany od stóp do głów, z pełną kieszenią, który gnębi młodego Rimbaud, siedzącego w kąciku biura, potem zaś podejmuje w Patmos dywidendę z Kompanii Gnome et Rhone".

Niewątpliwie słuszne jest rozróżnienie dwu typów mentalności chrześcijan: tych, którzy z Claudelem uważają, że diabeł jest głupcem, i tych, którzy z Bernanosem wierzą, że diabeł — to Zło. Dużo zresztą mówiono o roli szatana w twórczości Bernanosa (mianowicie Claude Edmonde Magny w „Satan", „Etudes Carmelitaines"). Wspomniano nawet o manicheizmie. Pokusa ta, prawie nie do pojęcia dla tych, którzy wierzą w głupotę zła, niewątpliwie istnieje dla tego drugiego typu mentalności. Jest ona poprzez augustynizm dziedzictwem prymitywnego manicheizmu. Nie jest przez to bardziej obca światu Bernanosa.

Aby sprawę tę lepiej zrozumieć, trzeba zapoznać się z metodami, których Bernanos używał w celu poskromienia swojej siły, metodami, przy pomocy których dążył do zapanowania chrystianizmu w całym jego wewnętrznym świecie. Wydaje mi się, że metodą tą jest modlitwa. Nie można zrozumieć Bernanosa, podobnie zresztą jak i każdego chrześcijanina, a może i każdego człowieka, bez zadania sobie pytania, jakie są formy i potęga jego modlitwy.

Jest to kwestia zasadnicza; szkoda, że nie poruszono jej w żadnej z książek poświęconych Bernanosowi ani też w esseyach zebranych ku jego czci. Bernanos czyniąc księdza swoim ulubionym bohaterem widzi w nim siłacza walki duchowej. Siła jego płynie jednak stąd, że jest on człowiekiem modlitwy i Mszy. Modlitwa ks. Donissan, Chevance, Chantal i wiejskiego proboszcza, oschłość ich modlitwy w mistycznym znaczeniu świadczą o osobistej inteligencji Bernanosa jak również o umiejętności przedstawiania spraw, o których mówi. Ze specjalnym zainteresowaniem czytamy wspomnienia ks. Pezeril, który przebywał z Bernanosem podczas jego ostatniej choroby (Beguin str. 340 — 358, „Dieu Vivant" XII, 123 — 126), ponieważ mamy nadzieję, że uda nam się przestąpić próg tej kaplicy, w której Bernanos krzepił swoje siły i korygował sądy. Wiem dobrze, że ryzyko posądzenia o niedyskrecję, a nawet bezwstydność, jest duże. Człowiek z wielkim trudem szuka właściwego języka, którym mógłby rozmawiać ze swoim Bogiem, i jeśli go nawet znajdzie, to nie może przekazać go drugiemu człowiekowi. Wydaje mi się, że modlitwa jest niewątpliwie kluczem do twórczości Bernanosa i że wszystko, co napisał, nawet pisma przepełnione duchem walki, nawet pisma pełne gniewu powinny być czytane jako modlitwy. La Croix-des-Ames jest nazwą niewielkiego wzgórza, w pobliżu którego Bernanos mieszkał w Brazylii. Słusznie zatytułował zbiór swoich artykułów politycznych „Le chemin de la Croix-des-Ames", ponieważ wszystkie jego prace z tej dziedziny są modlitwą za Francję. Można powiedzieć, że dużym błędem książki Picona jest to, iż w biografii Bernanosa raz tylko mówi o krzyżu i to o krzyżu wojskowym.

Picon rozróżnia wierzenia, które wcześnie porzucił i wartości, które zgadza się przyjąć — sugerując faktownie, że Bernanos nie sprzeciwiłby się temu subtelnemu rozdziałowi. Zastanówmy się jednak, czy cokolwiek będzie mogło zapełnić tę lukę wytworzoną w twórczości Bernanosa przez usunięcie z niej krzyża.

Wierny swojemu wewnętrznemu głosowi Bernanos całe życie walczył o te wartości, które umysł ludzki zredukował do rzędu pojęć, jak prawda i honor. Czasami jest rzeczywiście trudno je zdefiniować, rozpoznać, gdzie jest honor, czy też, co jest prawdą. Trudności te jednak nie istnieją dla człowieka natchnionego, który pojął prawdę i honor w swoim własnym życiu. Bernanos jak wszyscy natchnieni ryzykował pomyłki; istotnie nie raz się mylił i naprawiał swoje błędy. Jeśli jego poczucie prawdy i honoru nie myliły go zbyt często, to tylko dlatego, że kierowała nimi modlitwa. Modlitwa nie zawodzi uczciwej duszy, ponieważ stawia ją w obecności samej prawdy.

Cała twórczość Bernanosa jest nieustanną modlitwą, ponieważ chciał dać świadectwo prawdzie. „Scandal de la verité" pisał. Bernanos podobnie jak Jacqueline Pascal wie, że tylko prawda wyzwala, dlatego walczył o prawdę ze wzruszającą zaciętością. Bernanos wiedział, że prawda może palić i rozświetlać każdą duszę, nawet najnikczemniejszą, nawet wyglądającą na zepsutą. Prawda żyje tam, gdzie się ją szanuje. Zabija ją pierwszy odruch sprytu, pierwsza myśl o kompromisie. I dlatego Bernanos był tak przeciwny małym realistom w polityce, przeciwny ludziom sprytnym. Kiedy pochlebiamy sobie, że jesteśmy starymi wygami w polityce czy literaturze i nagle zobaczymy się w lustrze, możemy dojść do wniosku, że nasza twarz przypomina odwrotną stronę medalu. Jeśli ktoś woli dziewczynę z domu publicznego lub zepsutego chłopca od przewrotnego intelektualisty, to nie jest to poza ani romantyzm. Zło ma niewątpliwie najmniejszą władzę nad istotą, która nie ma złości w sobie, choćby żyła w grzechu, grzech jej bowiem może być chorobą.

Gniew Bernanosa skierowany był przeciw fałszywym Pozorom, temu podejrzanemu bogowi ludzi o pewnym rodzaju mieszczańskiej moralności i intelektualnej uczciwości. Najgorszym grzechem i być może jedynym jest oszustwo, tak trudne do wytropienia i tak straszne do odkrycia. Ponadto — Bernanos wiedział o tym również — jeśli ktoś wszystko odda prawdzie, naraża się, że może zabraknąć dla niego zrozumienia i miłosierdzia. Zaryzykował to.

Eugenia Kobylińska

Fikcja czy rzeczywistość

Rozważania na temat powieści Wacława Rzezacza „Krawędź"

Oto jest powieść, która zaskakuje tym, że pomija sprawy realnej współczesności. Jest ona w próbie obnażenia tajników psychologii twórczości tak szczera, że to budzi podziw dla odwagi autora, który opowiada się za fikcją na niekorzyść rzeczywistości. W powieści Rzezacza uderza brak owego przystosowania się autora do wymagań dnia, domagającego się różnych realnych osiągnięć. Nie ma tu polityki i zagadnień społecznych. Nie stawia autor żadnego problemu w tej dziedzinie. Nie składa też ukłonu w stronę żadnych idei władnących światem.

W czasie nabrzmiałych od niepokojących zagadnień światowych, w świetle błyskawic na horyzoncie politycznym, o parę zaledwie kroków od straszliwej wojny, której wspomnienie idzie zatrutymi dymami po krajach Europy — on się odwraca w zupełnie inne krainy, w sferę czystej twórczości, nie oglądającej się na nic, na żaden natychmiastowy realny pożytek.

Bohater powieści Henryk Aust (może sam autor?) nie jest młodym człowiekiem. Bohaterowie wielu polskich powieści mogliby spojrzeć na niego z obrzydzeniem. Był na wojnie? coś nie wygląda na to? W partyzantce? A gdzież tam. Może chociaż cierpiał w obozie? Bardzo wątpimy.

Więc któż to taki, u licha?

To jest człowiek z powołaniem pisarza. Taki, który się interesuje samym życiem, jego mechanizmem i unerwieniem bez względu na polityczno-społeczne zabarwienie.

„Literat musi wszystko znać, wszystko wymyślić — zwierza się Aust kompanom w szynku. Jeździłem z wędrowną trupą, jak mój bohater. Przeszedłem przez wiele zawodów. Byłem wędrownym kupcem, buchalterem, korespondentem, grałem w orkiestrze i wreszcie stałem się nauczycielem języków, bo prócz ojczystego, znam dobrze trzy obce. A to wszystko robiłem w tym celu, żeby jak najwięcej poznać życie. Ale to nieważne. Najważniejsi są bohaterowie, o których piszę". Uwaga! Dla bohatera powieści (a może i dla autora) najważniejszą rzeczą jest fikcja — ta nadbudowa nad rzeczywistością, a nie sama rzeczywistość

Dla tej fikcji Henryk Aust co chwila poświęca rzeczywistość, mało tego, porusza się w tej rzeczywistości, jako swego rodzaju szkodnik społeczny. Ładnie się wywiązuje z powierzonych mu obowiązków w szkole! Wcale nie zważa na to, co robią jego uczniowie w klasie. Siedzi natchniony wizją swoją, świadomie pomijając spojrzeniem powierzonych jego pieczy trzydziestu siedmiu uczniów, którzy urządzają się, jak któremu wygodniej. Słyszy hałas, przenoszenie się z ławki na ławkę, ale boi się spojrzeć w stronę uczniów, żeby nie uleciała owa wizja — fikcja, rzecz w tej chwili dla niego najważniejsza.

Nie dziwimy się więc, że wyleciał ze szkoły. Zresztą usuwano go zewsząd. Nie nadawał się. Był bezużyteczny. Wmyślony w siebie. Nieobecny.

Czterdzieści lat! I nic! Absolutnie nic dotąd nie zrobił. Nikomu nie pomógł. O nic nie walczył. Nie wiemy nawet, jakie ma przekonania, bo przecież usuwano go nie za przekonania, lecz za nieprzydatność.

Ma pełen kufer niedokończonych płodów wyobraźni pisarskiej. Najwyższy czas, żeby coś w życiu zrealizować. Więc, gdy w głowie jego zjawia się bohater przyszłej powieści, Wilhelm Haba, całe życie Austa zostaje podporządkowane tej fikcji.

Czy chociażby ten Haba jest bojownikiem idei, rzecznikiem postępu, nieugiętym przodownikiem pracy twórczej w imię dobra społecznego? Nie. On również, jak i sam Aust, idzie za głosem swego powołania, kroczy po trupach swoich dwóch przyjaciół, przechodząc obojętnie koło starości i śmierci rodziców swoich byleby dotrzeć do celu, a tym celem są ostatecznie... oklaski. Inna rzecz, że Haba chce być godnym tych oklasków. Szarpie się z sobą i z rolą, wżywa się w sztukę, pracuje, przenika do głębi postacie, które ma odtworzyć. Tyle razy wkładał maskę, że już nawet nie wie, kiedy jest właściwie sobą. „Życie i rzeczywistość wydawały mu się zabawne i bez znaczenia w porównaniu z miażdżącą prawdą sceny".

A więc znowu przewaga fikcji nad rzeczywistością. Zastanówmy się. Wacław Rzezacz podkreślił tę sprawę dwa razy. W życiu Austa, gdzie zapanował wszechwładnie urojony Wilhelm Haba i w życiu tegoż Wilhelma Haby, którego opanował demon sceny. To dwukrotne podkreślenie ma chyba swoją wymowę?

Co jest najważniejsze? A więc tworzenie! Dzieło! Ukazanie swojej fikcji innym! Zasugerowanie tych innych. Zdobycie ich dla swojej wizji. Cudowna chwila uniesienia — i odwrócenie się do nowej absorbującej fikcji, do nowej próby jej ucieleśnienia.

A wśród tego nie najmniejszą rolę odgrywają objawy uznania, chociażby te oklaski! Jakże autor doskonale się orientuje w tej drażliwej sprawie. Proszę, z jakim napięciem, oczyma Austa śledzi ruchy dyrygenta na koncercie pojmując, „nie tylko ich niezachwianą władzę, lecz również pragnienie przykucia uwagi słuchaczy".

Sam Aust w czasie owego koncertu siedzi z ręką Jarmili w swojej dłoni, wsparty jej wierną miłością, lecz myślą odbiega do pochłaniającego twórczą wyobraźnię Haby. Bo jego bohater osiąga w teatrze wielkie powodzenie „zawsze pełen tego zatajonego, a szczerego uczucia, które kobiety wyczuwają instynktownie".

„Właśnie to, czego ty nigdy nie potrafiłeś" zachichotał klarnet w zjadliwej glissadzie. „Co tam ja" — próbowałem się odciąć. Nie żyję dla siebie, żyję tylko po to, by dać życie postaci, która byłaby mocniejsza, silniejsza i pełniejsza ode mnie".

Gdy Aust tak sobie myśli „na sali rozległy się oklaski. Dyrygent na którego czarnych plecach wyświetliłem sobie film o Wilhelmie, odwrócił się i pochylił w ukłonie. Bronił się przed pochwałami. udawał skromnego i szlachetnego, wskazywał, że całe uznanie należy się orkiestrze. którą wymownymi gestami zapraszał do powstania. A tymczasem widać było, że z wyrazu jego twarzy wprost krzyczy zazdrosna chciwość sukcesu. że udusiłby każdego, kto by chciał go pozbawić choć jednej pary tych klaszczących dłoni. Dobrze, dobrze, kolego, przejrzałem cię na wylot!"

Czy nie trafna analiza odczuwań wielu artystów? A jaka szczerość w przeprowadzeniu wiwisekcji, która przecież dotyczy i Haby, a więc i Austa, a przez to może i samego autora!

Powodzenie — sława — oklaski, to jedna strona całej sprawy, dla wielu najważniejsza. A znów dla innych najdonioślejszą rzeczą jest owa twórcza tęsknota, niecierpliwe, bezwzględne osiąganie wizji swojej.

Moment, chwila. złudne poczucie potęgi — fikcja wyczarowana w powieści czy na scenie — oto treść życia artysty.

...A wy bierzcie się za łby, wojujcie, zawierajcie przymierza, zmieniajcie mapę świata, żeńcie się i mnóżcie, tylko dajcie mi jakieś spokojne miejsce, gdzie bym mógł tę zawieruchę zjawisk odtworzyć w sztuce, patrząc na to wszystko ze słusznego dystansu. Muszę się od tego oddalić, żebym lepiej widział. Nie zasłaniajcie mi obrazu. Nie przerywajcie wątku myśli. Nawet ukochana dłoń wtedy mi zawadza. Nie przeszkadzajcie mi!

Więc w takim ujęciu co jest ważniejsze: fikcja co się utrwala, czy rzeczywistość, która z każdą chwilą przemija, przekwita, opada i czeka, aż ktoryś z artystów pozbiera opadłe płatki.

Henryk Aust jest uosobieniem protestu przeciwko pracy nie mającej nic wspólnego z jego pasją. Nie widać, żeby się interesował potrzebami miasta, kraju, ludności, czy grupy społecznej. Uwagę skoncentrował jedynie na bohaterze swojej powieści.

Rzezacz nie idealizuje bynajmniej Austa, ani Haby, jedynie stwierdza, że dana struktura psychiczna nie jest zdolna bezkarnie oderwać się od wizji swojej, więc też nie należy łamać podobnej indywidualności. Niech raczej artysta upora się ze swoją fikcją i zamieni ją w kształt jakiś. Wtedy się zobaczy, o ile owo dzieło okupi potknięcia się i roztargnienie artysty na innych terenach. Lecz zwykle dotychczas ubogi artysta czuł się w społeczeństwie, jak ścigane zwierzę, poszukujące bezpiecznej kryjówki. Trapiono go i zapędzano do roboty. Gdy się opierał, groziła mu śmierć głodowa. Jeżeli jednak ów przyszły twórca był szczęśliwym trafem mężczyzną — mógł w tej walce o fikcję liczyć na sojuszniczki — kobiety. Odwrotnie nie zdarza się prawie nigdy.

Za to jakże często upadającego w walce z przeciwnościami artystę podpiera kobieca ręka? Austa ratowała od głodu Rosowa, wspierała Ada i Jarmila, przy Habie stanęła Anka. Bo któż to stwarza warunki dla pracy twórczej mężczyzny? Zawsze jakaś Ada — Stasia — Jarmila czy Anka. One — w tej walce fikcji z rzeczywistością — razem z artystą uwierzą w przewagę fikcji. One swymi niedostrzegalnymi dla roztargnionych oczu staraniami sprawią, że twórczość mężczyzny idzie bez zakłóceń zewnętrznych naprzód, rozwija się bez zahamowań, chyba, że sam ją skoszlawi rutyną, zleniwieniem i samoadoracją.

Więc w decydującej chwili obaj bohaterowie powieści Rzezacza złożą razem z autorem hołd sojusznikom w nadobłocznej walce o fikcję

To jest jeszcze jeden dowód szczerości autora takie podkreślenie roli kokiety w życiu artysty.

Czytelnik, którzy przeszedł z Rzezaczem dwóch jego bohaterów, doszedł również do krawędzi psychologicznych zagadnień tej powieści i spoglądając wstecz na przebyty szlak — czuje satysfakcję. Przeszło się tę drogę w dobrym towarzystwie. Autor nie udawał nic. Mówił tylko o tym, co go pasjonowało. Ta niecierpliwa pasja twórcza, przedstawiona w powieści, stara jest jak świat i świeża jak wiosna.

Gwałtowna chęć poznawania i odtwarzania niekłamanej treści życia, poszukiwanie jego nurtu ukrytego pod krzykliwością dnia, pod wszelkimi zygzakami, jakie przynoszą dziesięciolecia czy stulecia, będzie zawsze przenikała artystów. Artysta wszędzie poszukuje ukrytej na dnie odwiecznej tajemnicy, zagadki swego człowieczeństwa. Nawet biorąc udział w wypadkach, patrzy na nie niejako z góry. Autor i widz zarazem. Musi bowiem zachować artystyczny umiar, sprawiedliwe współczucie dla tego, co się dzieje z ludźmi.

Z tego współczucia rodzą się rzeczy piękne, jak piękna jest powieść Rzezacza „Krawędź".

Eugenia Kobylińska

FILM

PROGRAMY

Przed kinem „Stylowy", na ekran którego wszedł film produkcji angielskiej „Paganini" rozmawia dwóch młodych ludzi w wieku 18 — 20 lat. „Chodź, pójdziemy na Poganiniego" — „Paganini" poprawia drugi po rzuceniu okiem na afisz. „A kto to był?" — „Nie wiem" — brzmi odpowiedź.

Recenzja o tym filmie zamieszczona w 17 (49) numerze „Filmu" rozprawia się z nim bardzo ostro. „Roland Petrwee nie może znaleźć dla uzasadnienia swojego scenariusza żadnych argumentów ani okoliczności łagodzących... film roi się ponadto od błędów historycznych.. zgromadził on (reżyser) w filmie niespotykaną od dawien dawna ilość scen płaczliwo-melodramatycznych... byłby to piękny film gdyby... zmieniono cały scenariusz". W numerze 9 (65) w rubryce „Nasz obiektyw" ten sam tygodnik pisze: „Niezdarny ten melodramat sprowadzono wyłącznie po to by miłośnikom muzyki dać możność posłuchania jednego z najgłośniejszych skrzypków świata Yehudi Menuhina". Następnie cytat z „Dziennika Bałtyckiego" wyliczający szereg — już nie błędów — ale przeinaczeń historycznych i stwierdzenie: „Rozpowszechniony przez Hollywood i naśladowany w Anglii obyczaj bezceremonialnego „korygowania" życiorysów sławnych ludzi, o których kręci się filmy biograficzne, przyjmowany jest przez kulturalnego widza pogardliwym wzruszeniem ramion".

Po usłyszeniu takiej opinii spodziewamy się, że niechybnie program dokładnie poinformuje widza o Paganinim, wprowadzi w środowisko, naszkicuje tło historyczne, wyjaśni wszelkie nieścisłości. Nie każdy z widzów zna i nie możemy wymagać by znał dokładnie biografię Paganiniego, historię Włoch i Francji (ze szczególnym uwzględnieniem historii Napoleona i jego kampanii włoskiej), biografię Liszta itp.

Program rozpoczyna się od podmalowania tła: „Były to czasy kiedy możni tego świata zabawiali się w mecenasów sztuki, entuzjastyczne tłumy wypełniały sale koncertowe, zaś czarowne dźwięki skrzypiec mogły poskromić dowódcę oddziału wojsk okupacyjnych. Były to również czasy, gdy o losie młodej dziewczyny decydowała wola cesarza, a przesądy klasowe rozdzielały dwoje kochających serc". Pojawia się teraz postać Paganiniego: „Młody Nicollo Paganini zna potęgę swojego geniuszu. I oto, zbrojny w talent muzyczny, bez grosza przy duszy, wyrusza na podbój świata". Następuje wyliczenie perypetii bohatera tak jak są one przedstawione w filmie i wreszcie opis zakończenia: „Paganini zmuszony zostaje do wystąpienia na koncercie w Watykanie, gdzie gnębiony zniechęceniem i niepewnością dostrzega wśród gości swoją ukochaną. Widok jej dodaje mu siły. Jego muzyka jest wspaniała i porywa słuchaczy. Wzbudza ona odwagę i energię w duszy Janiny, która wyznaje narzeczonemu miłość do Paganiniego i zrywa zaręczyny. Z wyrazu jej oczu artysta odczytuje swe szczęście i przelewa je w tony czarodziejskich dźwięków".

To wszystko. Dla oddania stylu zacytowałem tu przeszło trzecią część oryginału. Fakty, daty, słowa istotne, są tu zastąpione przez przymiotniki. Przez „czarowne dźwięki", „czarodziejskie tony", albo „tony czarodziejskich dźwięków". Twórca programu wie co odczytał bohater z oczu ukochanej i co potem „przelał w tony" — ale trzeba niestety stwierdzić, że publiczność z takiego programu nie odczyta niczego. Młodemu widzowi, który dopiero zdobywa kulturę muzyczną, nie daje najbardziej prostej i podstawowej informacji — czy Paganini jest postacią historyczną, czy też powstał w wyobraźni scenarzysty. (Warto wspomnieć, że czasem zasadnicze informacje umieszczane są w czołówce filmu — tutaj i tego rodzaju rozwiązanie nie ma miejsca).

Program „Paganiniego" nie jest przykładem odosobnionym. Niezmienną niemal dotychczasową receptą jest streszczenie. Jego nieodzowność może podlegać dyskusji — nawet jednak jeżeli przyjmiemy założenie, że istnieje część widzów, która nie zdoła odczytać napisów i śledzić rozwoju sytuacji (pomijając fakt, że są filmy których akcja dla każdego jest dostatecznie jasna i prosta) i uznamy, że powinno ono wchodzić w skład programu — w każdym wypadku wymagamy jasności i ścisłości oraz poprawnego stylu. Opracowanie dobrego streszczenia nie jest łatwe. Trudno się jednak zgodzić na panującą maniere stylistyczną i frazesy wśród których niełatwo jest wyłowić istotny sens. (Swoistą pointę stanowią zwykle końcowe sentencje w rodzaju: „Po mrokach graniczących z obłędem nadchodzą dla niej lepsze dni w których przyjacielem będzie szlachetny Brian" — „Gasnący płomień").

Zagadnienie komplikuje się, gdy pojawiają się programy, których treść każe podejrzewać brak podstawowej nawet korekty — dość wspomnieć obraz „Wakacje". Film kończy się morderstwem — program wspomina, wprawdzie, że w życie obozowe „wplątała się dziwna i niespodziewana afera! — mord i szulerstwo", ale spokojnie przechodzi nad tym do porządku i (siedem wierszy dalej) stwierdza, że „wszystko kończy się happy-endem".

Ostatnio, aż na łamy „Odrodzenia" dostała się sprawa programu „Rzymu, miasta otwartego", który niewłaściwie informował o obsadzie aktorskiej przeinaczając nazwiska i osoby i przeprowadzał błędną analizę filmu.

Z przykrością trzeba stwierdzić że niejednokrotnie zdarzają się akcenty, które sprawiają wrażenie jak gdyby programy były pisane nie w celu udzielenia rzetelnej informacji — ale po prostu dla reklamy. Nie rezygnują one z atutów takich, jak np. wyliczenie w obrazowych słowach drastycznych momentów życia bohatera („ten.. chłopak.. prowadzi życie występne... Anna.. zostaje jego kochanką, zrywa więc z narzeczonym i zostaje utrzymanką Chartiera" — „Trzech panów Ludwików"), „obiecującego" opisu atmosfery filmu („Są to dzieje trzech kobiet, które... stają się jednymi z wielu, których nawpół obnażone ciała, przybrane w fantastyczne stroje przyciągają co wieczór tysiące chciwych spojrzeń" — początek programu „Kulisów wielkiej rewii"), bądź też po prostu narzucenia opinii widzowi („Film „Bolero" jest typową francuską komedią... W całości „Bolero" — to miły, pełen humoru film rozrywkowy" — słowa dotyczące jednego z najgorszych obrazów produkcji francuskiej widzianych na naszych ekranach i stojącego niewątpliwie poniżej poziomu przeciętnej komedii francuskiej).

Te przykłady wystarczą. Programy takie nie wnoszą niczego — wprost przeciwnie, niejednokrotnie przynoszą jak najbardziej fałszywe sugestie, trywializują.

Nawet przyjmując, że dotychczasowy wszechwładny system streszczeń ulegnie poprawie powstaje pytanie, czy tak pojęty program spełnia swoje zadanie. Czy streszczenie wystarcza, czy nie należy dążyć nie tylko do usunięcia jaskrawych błędów obecnych, ale i do — postawy zagadnienia jasno — nie tylko udzielenia sporadycznej informacji ale i wychowania widza.

W nieporozumieniu dotyczącym programu o „Paganinim" istotna wydaje się przede wszystkim nie różnica w wypowiedziach pisma „Film" i oficjalnego programu — dwoma wydawnictwami tego samego przedsiębiorstwa — ale fakt, że owi dwaj młodzi ludzie nie znaleźli w programie odpowiedzi na pytanie kim był Paganini. Że nie było czynnika, który by po zobaczeniu filmu pozwolił im sprostować wyniesione wrażenia. Istotny wydaje się fakt, że widz po obejrzeniu „Dzwonnika z Notre Dame" — tej dość dowolnej trawestacji kładącej nacisk na akcję — wyniósł spaczone pojęcie o twórczości Hugo, że ten kto widział „Wielkie nadzieje" i nie wiedział kim był Dickens nie znalazł w programie żadnych informacji o nim, ani o jego epoce, a oglądany film zawisł w próżni, że publiczności oglądającej „Rzym, miasto otwarte" czy „Obywatela Kane" nie wyjaśniono ich problematyki, która dla niejednego była za trudna, że żaden z dotychczasowych programów nie odsłonił tajemnic techniki filmowej, nie nauczył patrzeć. I że nie wykorzystano dotychczas w ramach programów możliwości przeprowadzania ankiet i zbadania reakcji widza.

Szczegółowe omówienie poruszonego zagadnienia przekracza ramy tego artykułu. Trzeba tu jednak zwrócić uwagę na kilka zasadniczych faktów.

Nakład programu wynosi przeciętnie 50.000. Krąg czytelników (— do kina rzadko chodzi się samemu —) jest daleko szerszy. Każdy taki program to nie kwestia zadrukowania kartki papieru — to zagadnienie właściwego poinformowania i wykształcenia kilkudziesięciu tysięcy ludzi.

Całkowicie brak nam jest specjalnej, fachowej prasy filmowej. (Ilustrowane pismo popularne „Film" nie spełnia tej roli). Brak nam jest opracowań książkowych z dziedziny filmu — nie tylko własnych, ale i nawet tłumaczeń. Rozszerzony i poważnie opracowany program byłby tym niemal jedynym źródłem wiedzy filmowej dla widza.

Wielka masa odbiorców wciąż jeszcze w większości pozostaje bezkrytyczna. Wciąż jeszcze jedynym kryterium oceny filmu jest jego fabuła, a nie wartość. Znajdujemy się w sytuacji, którą można by niemal określić, jako analfabetyzm kultury filmowej. Istnieją tygodnie książki, prasy, festiwale teatralne. Stwórzmy tydzień filmu. Nauczmy widza patrzyć pokażmy mu **czym jest film.** Zbadajmy jego reakcję, dowiedzmy się czym jest film dla niego.

Spośród wielu nieopracowanych jeszcze problemów upowszechnienia kultury filmowej wybierzmy na początek choć jeden — problem programów — ale zacznijmy go konkretnie realizować. Stwórzmy program dla programów.

LESZCZ.

Co piszą inni...

STEFANIA SKWARCZYŃSKA omawiając w swym wnikliwym i głębokim studium twórczość dramatyczną Jerzego Zawieyskiego (Znak Nr 17) m. in. pisze,

„Trudno zaprzeczyć, że dzisiaj obok tych, których postawę dałoby się określić jako postawę katolickiego tradycjonalizmu — jest wielu takich, którzy się tej postawie przeciwstawiają. **A przeciwstawiają się nie ze stanowiska wiary lub niewiary, lecz ze stanowiska pewnych postulatów, które stawia formie kultury katolickiej chwila dziejowa.** Przecież większość zarzutów przeciw, ogólnie mówiąc, katolicyzmowi płynie nie tyle ze sprzeciwów wobec jego dogmatów, ile ze sprzeciwów wobec form kultury katolickiej wypracowanych przez minione czasy, dziś już przedawnionych utrzymujących się siłą bezwładności... W tym zaprzeczeniu katolicyzmu w formach jego kultury czasowej nie leży przecież — przynajmniej nie zawsze — zaprzeczenie czystego słowa ewangelicznego i czystego dogmatu; można by raczej powiedzieć, że leży **wołanie o wypracowanie dla tego słowa i dla tego dogmatu formy nowej,** odpowiadającej dzisiejszym czasom. **Takie formy, której konkretny wyraz znalazłyby słowa Chrystusowe błogosławiące czyniących pokój i sprawiedliwość, nadające rangę ważności tym, którzy są czystego serca i ubodzy duchem, żądające miejsca dla każdego człowieka z racji jego człowieczeństwa".**

— W służbie nieprzemijającym wartościom, służbie realizowanej nową formą współczesnego katolicyzmu „stojącego twardo na gruncie Ewangelii i dogmatu i równie twardo opartego o dzisiejszość" — widzi autorka głęboką wartość dramatów Zawieyskiego i tajemnicę ich doskonałości artystycznej i powodzenia.

— Ale chodzi tu nam o postawione zagadnienie tj. o problem nowej formy kultury katolickiej, formy odpowiadającej dzisiejszym czasom. Wypracowywanie tej formy to zadanie równie pilne, jak ważne.

Nie miejsce tu na omawianie tego problemu w jego najszerszym zakresie.

Dlatego też zamiast ogólnych refleksji i rozważań chcemy zwrócić uwagę na jeden bardzo aktualny i nie zawsze dostatecznie doceniany wycinek zagadnienia.

Chodzi tu nam o problem **komunikatywności kultury katolickiej w odniesieniu do niewierzących.**

Sprawa nie jest taka prosta, jakby się mogło wydawać.

Znamy skłonność ludzką do „szufladkowania pewnych zdobytych pojęć i nadawania im pewnej ustalonej etykiety, pod którą wtłacza się już później często bez żadnego przemyślenia to co pochodzi z tego samego źródła. Idzie to w parze z niechęcią do rewidowania własnych pojęć z obawą przed kontrolą swego stosunku do pewnych wartości, stosunku uznanego za słuszny i zakwalifikowanego do szufladki — „sprawy pewne i załatwione".

Ten moment apriorycznego nastawienia u odbiorcy niekatolickiego do dzieł twórców katolickich trzeba wyraźnie brać pod uwagę. Niedocenianie tego momentu jest przymykaniem oczu na fakty. Nieliczenie się zaś zupełnie z nimi prowadzi do podcinania możliwości oddziaływana. Natomiast zrozumienie tego rodzić musi postulaty formalne. Musi ono żądać od każdego twórcy katolickiego osiągania takiej formy, która by najlepiej przemawiała do psychiki współczesnego człowieka; żądać takiej formy, która by odbiorcę niewierzącego — nie zastraszała etykietą katolicyzmu, którą on przecież już zakwalifikował do pewnej ustalonej szufladki swych pojęć — ale poprzez pokazanie mu istotnych nieetykietowych wartości katolicyzmu dotarła do niego w sposób prosty, jego psychice dostępny, oddziałując na niego w myśl reprezentowanych wartości.

Twórcy katoliccy — jeśli ich twórczość ma być apostołowaniem miłości Boga i ludzi, apostołowaniem wśród wszystkich ludzi — muszą też czasem zdejmować „sutannę" by dotrzeć i od tych, których ona zraża.

Wydaje mi się, że podany tu przykład nie nasuwa się tylko jako przypadkowe skojarzenie Że wzór ten ma swą głęboką treść — i w jakiejś formie powinien znajdować swój odpowiednik na terenie twórczości kulturalnej.

tm.

Anna Pogonowska

Rozważania liryczne

Wspięła się cisza w malwach
z brzozy srebro trysnęło
Nasturcje przydymiła woń —
Gwiazda ciężarna
Blaskiem bezsennym
Zahaczyła o dno

Serce — cieniu poryty,
Wietrze dalekich mórz,
Piano łąk —
Więc głód, głodna samotność,
Zgnieciona ziemi krągłość,
Poszukiwany ląd.

Za gestem — w twoim ciele
Siła, która popieli,
która nastawia świat
Jak kulę bilardową —
Uderza twoje słowo.
Celny strzał.

Celny? Brzoza jest łukiem
Wypuszcza liść na bruki
Miasta, na cichy mech —
Dąb żołędzie rozsieje
Czy kamienie, czy knieje
A ty myśl swoją ślesz

— O pędzie! który różę
Z burzy cierni wynurzysz
Lilię dreszczami wody
Wykołyszesz na gody,
który wznosisz i strącasz
krew mą błyskiem miesiąca,
Zginasz lub łamiesz jak sosny
Sztywny pień świadomości.

***

Wrzos — fioletowa zatoka
Dla motyli głęboka,
Żółte dzwonki jak maszty
Prują błękit pierzasty,
Trzmiele — ciężkie od złota
Podfruwają w podskokach,
A jaszczurka — gadzina
Szybko sunie w głębinach.
Leszczynowa gałązka
Ptak ostatni zakląskał —
Znaleziony orzeszek
kładę, by dojrzał, w kieszeń

***

Ten obraz z bukietu światła,
Pióropusz woni i szumu
Wysycha w płatach rozumu
Jak w żarze deszczowa kropla.

O! białe pióro anioła
Roniące srebrny cień —
Twardniejesz w blask i czerń
A jesteś echem co woła.

Ze wspomnień starego dyplomaty (I)

Poznałem Maeterlincka przed kilku laty w Rzymie. Przewodniczył na bankiecie Pen Clubu, przemawiał, bawił swoich sąsiadów, oczy miał żywe, młode, a atletyczna postać, pełna była energii i siły. Towarzyszyła mu urocza małżonka, belgijska aktorka Renée Dahon, młodsza od niego o czterdzieści lat. „Uwielbiam w mężu autora moich najlepszych ról — mówiła — i jestem dumna z tego, że go sobie zdobyłam". Nie znałem wówczas historii jej zamążpójścia, więc ów frazes, rzucony na marginesie innej zgoła rozmowy, minął bez wrażenia. Dopiero później dowiedziałem się, że Renée Dahon powiedziała prawdę. Maeterlinck, zarabiający od razu sporo pieniędzy, mieszkał w zbytkowej willi na Jasnym Brzegu „Les Abeilles", z Georgette Leblanc, pierwszą i wspaniałą interpretatorką jego „Monny Vanny" i „Joyzele", która przyczyniała się niemało do rozgłosu jego sławy autorskiej. Do tego ich sanktuarium mieli wstęp tylko nieliczni przyjaciele. Lecz wtargnęła tam pewnego dnia piękna i młoda Renée Dahon, aby z autorem przerobić swoją rolę Pelleasa i Melisandy. Wnet zaczęły się tragiczne sceny zazdrości między starzejącą się już Leblanc, a Renée. Zwyciężyła naturalnie młodsza i poprowadziła w dodatku swego amanta do ołtarza, zrozpaczona zaś Leblanc napisała brzydki paszkwil na Maeterlincka, który sprawił wiele uciechy jego nieprzyjaciołom.

Tam też w „Les Abeilles", gdzie Maeterlinck spędzał całe dnie na badaniu pszczół i mrówek, zakończył się najświetniejszy okres jego życia.

Urodził się w Gand w 1862, jako syn flamandczyka, notariusza, który kazał mu studiować prawo. Chłopak był skryty, raczej melancholijny, szukający samotności, rozkochany w kwiatach, rozczytujący się w dziełach Hellady, wierzący w Przeznaczenia, których żaden z żyjących uniknąć, ani zmienić nie może. Wbrew woli ojca wyjechał do Paryża, poznał życie artystów na Montmartre, zbliżył się do Catulle Mendesa, Villiers de l'Isle Adam, lecz wnet powrócił do swoich róż i tulipanów w Gand. I tam wydał, bez żadnego niemal przygotowania „La princesse Maleine", o której Oktawiusz Mirbeau napisał w Figaro: „Nic nie wiem o Maeterlincku. Nie wiem skąd pochodzi i kim jest: czy młodzieńcem, czy starcem, bogaczem, czy ubogim. Wiem tylko, że stworzył arcydzieło, cudowne, najczystsze, wieczne arcydzieło, które samo jedno może zapewnić nieśmiertelność jego nazwiska".

Sława i złoto padały na niego odtąd jak deszcz majowy. Cokolwiek napisał było rozchwytywane przez wszystkie sceny Europy: „Intruz", „Stefan", „Siedem księżniczek", „Pelleas i Melisanda", „Błękitny Ptak" itd. Faure Gabryel i Claude Debussy, ubrali „Pelleasa" w jedną z najpiękniejszych szat muzycznych, jaką wydała współczesna muzyka francuska, lecz powodzenia te nie zbliżyły Maeterlincka do świata. Nabył na odludziu, w Normandii, dawny gmach klasztorny w Saint-Wandrille i spędził tam kilka lat w ciszy i spokoju. Przetłumaczył „Makbeta" i recytował go razem z Leblanc w starych refektarzach klasztoru. Najdłużej przebywał w swej nowo nabytej willi „Les Abeilles", gdzie zastała go pierwsza wojna światowa i gdzie przeżył tak że narodziny swej ostatniej miłości. Tam także dostał nagrodę Nobla i wielu innych akademii, co wraz z prezesurą Pen Clubu i młodą żoną u boku, wprowadziło pewien niepokój w jego życie.

Jakiś magnat rosyjski zaczął niedaleko Nizzy budować pałac na wzór świątyni greckiej, z marmurowymi tarasami spadającymi do morza, lecz rewolucja pozbawiła go majątku i zmusiła do sprzedaży niedokończonej budowli. Materlinck był właśnie wówczas w ciągłych rozjazdach, lecz dowiedziawszy się o tym, postanowił to cudo marmurowe zakupić i przekazał w tym celu swemu pełnomocnikowi milion franków. Lekkomyślny adwokat zamiast spełnić wolę klienta przegrał całą tę sumę w Monte Carlo, a równie lekkomyślny klient, zamiast oddać sprawę do sądu podjął drugi milion i sam już nabył ową rezydencję. Nazywa się ona obecnie „Orlamonde" i była przed ostatnią wojną prawdziwym cudem. Maeterlinck przebudował ją zupełnie, sprowadzał najrzadsze krzewy, drzewa i kwiaty, marmurowe kolumnady otoczył różami, a sale były jak ujeżdżalnie. Pani Maeterlinck opowiadała mi, że w pracowni jej męża stoi stół, arcydzieło sztuki florenckiej, długi na 5 metrów, a na 2 metry szeroki.

Wszystko to zniszczyła ostatnia wojna. Poznikały gobeliny, alabastrowe przezroczyste wazy, cenne antyki i egzotyczne rośliny...

Maeterlinck wyjechał do Stanów Zjednoczonych, a powróciwszy, zaczął odnawiać swą zniszczoną siedzibę. Lecz nie mógł przeboleć wandalizmu ludzkiego. Nawet ule za szkłem, w których obserwował życie pszczół, porozbijali Niemcy, a resztki rozkradli sąsiedzi. Maeterlinck z samotnika stał się mizantropem. Nie widywał nikogo. Nawet rybakom nie wolno było zatrzymywać się przy brzegu parku.

W swej cudownej książce „Avant le grand silence", pisał myśląc zapewne o sobie, że najważniejszą sprawą jest wiedzieć czy pamięć o życiu człowieka przeżyje jego ciało.

Zmieniają się naturalnie poglądy i upodobania literackie, zapewne nowy jakiś Mirbeau nie pisałby z takim entuzjazmem o Maeterlincku jak dawniej. Lecz jego wkład w dorobek literatury światowej jest duży. Nie można tak łatwo zapomnieć tej głębi i powagi myśli, jaką odczuwa się niemal we wszystkich dziełach Maeterlincka, tej jego wielkiej miłości przyrody i adoracji miłości Boga, przejawiającej się w tak drobnym nawet stworzeniu jak pszczoła i mrówka. I to duchowe właśnie podłoże jego twórczości zapewnia mu jej długowieczność i zawsze żywy podziw czytelnika.

Na zakończenie mały epizod. Rozmawiając z Maeterlinckiem usiłowałem go zainteresować Wyspiańskim i zachęcałem do zaproszenia do siebie, mieszkającego o godzinę drogi od Nizzy Ładę-Cybulskiego, doskonałego tłumacza na język francuski naszego poety. Maeterlinck słuchał, słuchał i nagle mi przerwał: „Jak się miewa wasz mistrz..." i tu wymienił jakieś straszliwie przekręcone nazwisko. Kiedy zaś zapytałem kogo ma na myśli napisał na kartce Przypkowski. Mieszkając wówczas stale zagranicą, nie wiedziałem nic o panu Przypkowskim i przyznałem się do tego otwarcie. Maeterlinck spojrzał na mnie z wyrzutem: „Toż to jedyny człowiek w Europie, który robi zegary ścienne — po prostu arcydzieła. Jedno z nich mam u siebie. Drugie ma król belgijski. Proszę go pozdrowić i przypomnieć obietnicę przyjazdu".

— Uczyniłem to o wiele później, gdy poznałem p. Przypkowskiego w Warszawie.

Te-Ka.

W świecie

Ludobójstwo

Właściwie wszystko cokolwiek w tej chwili dzieje się na kuli ziemskiej jest funkcją lub refleksem tarć między obozem socjalistycznym i kapitalistycznym. Praktycznie doszliśmy do etapu historycznego, kiedy nasza stara ziemia stanowi już zupełną jedność ideową, to jest — uwzględniając rozmaite lokalne warjanty — wszyscy jesteśmy przedmiotem działania tegoż samego problemu politycznego. Raz przybiera on formę dyskusji w łonie Wielkiej Czwórki o jedność Berlina, kiedyindziej to bitwa o Szanghaj. Ogniwami tego samego łańcucha będzie proces przeciwko 12 przywódcom komunistycznym w USA, jak i sprawa Eislera. Wyrazem tego są również dalsze losy tak zwanego „Prawa Norymberskiego"; — dlatego też nie od rzeczy właśnie w rubryce poświęconej aktualnym zagadnieniom międzynarodowym warto zwrócić uwagę czytelników na świeżo wydaną książkę prokuratora dr Jerzego Sawickiego pt. „Ludobójstwo — od pojęcia do konwencji".

Książka dr Sawickiego jest skomentowaną przez autora historią tych wszystkich perypetii formalnych i politycznych, jakie przejść musiało pojęcie „ludobójstwa", nim w grudniu ub. roku zostało przez Zgromadzenie Ogólne ONZ przyjęte w formie 19 artykułowej konwencji (ściślej jej projektu) o „zapobieganiu i karaniu zbrodni „ludobójstwa". Książka Sawickiego dlatego jest tak bardzo frapująca — nawet dla laika w dziedzinie prawa — gdyż ukazuje nader charakterystyczne dla aktualnego układu spraw międzynarodowych wahania i tendencje regresyjne państw anglosaskich tak w stosunku do wyroku Trybunału Norymberskiego, jak do uchwały Zgromadzenia Ogólnego ONZ z 1946. Zaryzykować by można chyba twierdzenie, że gdyby śledztwo w sprawie czołowych niemieckich zbrodniarzy wojennych przeciągnęło się powiedzmy dwa lata, to kto wie, czy ludzie ci byliby kiedykolwiek ukarani. Natychmiast po wyroku Norymberskim pewne prawniczo-wojskowe koła amerykańskie zaczęły właściwie protestować, z dużą szczerością oświadczając, iż upowszechnienie się precedensu norymberskiego grozi karami dla oficerów amerykańskich jeżeli USA kiedykolwiek przegra jakąś wojnę. Charakterystyczny lęk członków grup społecznych czy politycznych będących w regresji; przeciwnie niż to występuje u uczestników prądów czy grup będących w historycznej progresji. Otóż podobne przyczyny działały w trakcie dyskusji nad konwencją o ludobójstwie.

W grudniu 1946 ONZ stwierdził swą uchwałą, iż „ludobójstwo" stanowi zbrodnię w rozumieniu prawa międzynarodowego, którą świat cywilizowany potępia i którego sprawcy oraz biorący w niej udział podlegają karze bez względu na to, czy są oni osobnikami prywatnymi, czy urzędnikami publicznymi lub mężami stanu i bez względu na to, czy zbrodnia została dokonana z przyczyn religijnych, rasowych, politycznych czy innych" Ludobójstwo według definicji tak zwanego Prawa Norymberskiego jest celowym niszczeniem grup narodowych, religijnych czy rasowych, przy czym dokonywane być może również w okresie pokoju, a nie wyłącznie wojny.

Od uchwalenia powyższej deklaracji w sprawie ludobójstwa rozpoczęły się korowody prawne sprowadzające się do tego, iż państwa anglosaskie pragnęły zapobiedz obleczeniu się deklaracji ONZ w kształt konwencji prawnej, a Związek Radziecki i demokracje ludowe dążyły do tego. Trudno jednak było zgilotynować akcję, która nie tylko została prawnie zainaugurowana na terenie ONZ — przed jej wyczerpaniem, — ale która ponadto ma swe korzenie w aktualnej świadomości polityczno-moralnej współczesnych społeczeństw; stworzenie ponad-narodowego i ponad-państwowego porządku prawnego, który by dawał osłonę słabszym narodom czy grupom przeciw silniejszym jest po doświadczeniach ostatniej wojny głębokim pragnieniem wszystkich, którzy ją przeżyli przypadkowo, a którzy chcieliby mieć prawo życia i swobodę narodowego rozwoju niezależnie od kaprysów rządów chwilowo silnych. Dlatego też dyskusja nad konwencją trwała wprawdzie długie dwa lata ale nie została zerwana i zakończyła się kompromisem, choć niedoskonałym, to jednak — zdaniem delegacji polskiej — będącym pewnym krokiem naprzód w dziedzinie międzynarodowego ustawodawstwa.

W konwencji końcowej zostały ustalone grupy mogące być przedmiotem przestępstw przy ludobójstwie: narodowa, etniczna, rasowa lub religijna. Charakterystycznym było staranie delegacji USA o włączenie do tych grup — grup politycznych i ekonomicznych. Przeciw temu wypowiedziały się państwa ludowe oraz ZSRR. Natomiast teza amerykańska została przeforsowana w sprawie „ludobójstwa kulturalnego" — mianowicie odrzucono wniosek ZSRR, by pod pojęcie ludobójstwa podciągnąć niszczenie dorobku kulturalnego grup podlegających ochronie. Ciekawe, iż przeciw temu wnioskowi wystąpiła Francja. Czyżby broniono w ten sposób prawa do bezwzględnej asymilacji kulturalnej ludów kolonialnych? USA raz godząc się na konwencję chciało z niej uczynić narzędzie ingerencji w wewnętrzne sprawy poszczególnych państw — stąd walka o ochronę grup politycznych; rzecz praktycznie bez sensu w okresie tak nasilonej i ostrej walki ideowej na świecie, wprowadzona do konwencji w ogóle przekreśliłaby jej praktyczne znaczenie, gdyż aby ominąć ten punkt — państwa odrzucałyby całość konwencji. Stąd też ostre usiłowania USA, by stworzona została instytucja międzynarodowego sądownictwa dla spraw o ludobójstwo. W istocie instytucja taka została w konwencji zaprojektowana z tym jednak, iż podlegać jej będą kraje zupełnie dobrowolnie; znów dbałość o to by nie stała się ona narzędziem ingerencji w wewnętrzne sprawy państw o wzajemnie sprzecznych ustrojach politycznych, kiedy to ingerencja tego rodzaju służyć mogłaby nie ochronie jakichś grup etnicznych tylko przede wszystkim podważaniu istniejącego porządku państwowego.

Świetna książka prokuratora Sawickiego szczegółowo opisuje te wszystkie spory, różnice i rozbieżności. Nie miejsce tu na jej streszczanie. Należy powiedzieć tylko jedno: aczkolwiek konwencja jest pewnym krokiem naprzód w konstytuowaniu prawa międzynarodowego, to jednak krok ten jest dość mały i słaby. Walka jaką na całym świecie kapitalizm prowadzi przeciw socjalizmowi znalazła i tu swe odbicie. I chyba nie będę się bardzo mylił sądząc, że tak długo nie doczekamy się skutecznej ochrony przeciw ludobójstwu, skutecznie działającego międzynarodowego prawa karnego — aż ten centralny problem naszej epoki nie zostanie rozwiązany. A rozwiązaniem tym — sądząc z dość wyraźnego kierunku ewoluowania sytuacji ustrojowej, politycznej, technicznej — może być tylko klęska systemu kapitalistycznego.

Kazimierz Koźniewski

TYDZIEŃ KULTURALNY

DOKTORATY NA K. U. L. W LUBLINIE

NA Uniwersytecie Katolickim v Lublinie pierwszy po wojnie doktorat KUL z historii sztuki otrzymał A. MAŚLIŃSKI.

Z zakresu filozofii polskiej doktoraty otrzymali: J. SŁOMKOWSKI, E. GOŁĘBIOWSKI i ST. SANTOCKI. Z zakresu historii kultury H. ZINS.

WALNY ZJAZD POLSKIEGO TOWARZYSTWA LUDOZNAWCZEGO W TORUNIU

W auli Collegium Maximum Uniwersytetu im. Mikołaja KOPERNIKA w Toruniu rozpoczął się w dniu 10 czerwca pod przewodnictwem wiceprezesa Towarzystwa, prof. dra Leona Halbana z Lublina, walny zjazd Polskiego Towarzystwa Ludoznawczego. Zjazd zgromadził ponad 70 delegatów, m. in. wybitnych etnografów z Krakowa, Warszawy, Lublina, Poznania, Wrocławia i innych ośrodków.

Towarzystwo to, liczące obecnie 367 członków czynnych i ponad 1.200 członków - korespondentów, prowadzi badania etnograficzne i pokrewne nad ludem polskim i innymi ludami oraz rozpowszechnia wyniki swoich prac i zebrane materiały.

Najcenniejszą pozycję Towarzystwa stanowi biblioteka, licząca 18.000 tomów. Biblioteka ta mieści się w siedzibie Zarządu Głównego Towarzystwa — w Lublinie.

Towarzystwo przystąpiło do prac nad przygotowaniem do druku Polskiego Atlasu Etnograficznego. W związku z tym zorganizowano stałą sieć około 1.500 korespondentów Atlasu, którzy gromadzą materiały etnograficzne.

Prace nad Polskim Atlasem Etnograficznym potrwają co najmniej 15 lat.

ZGON ARTYSTY MALARZA JÓZEFA HOLLAKA

W Częstochowie zmarł, przeżywszy 60 lat, znany art. mal. i grafik, Józef HOLLAK. Był on autorem dekoracji pawilonu Uzdrowisk Polskich na Wystawie Ziem Odzyskanych.

Na zeszłorocznej Wystawie Ziem Odzyskanych we Wrocławiu, jego dziełem były projekty dekoracyjne pawilonu Polskich Uzdrowisk. Do ostatnich prac J. Hollaka należą dwie teki graficzne — jedna z cyklu „Jasna Góra", druga z cyklu „Człowiek i praca".

„DNI KRAKOWA"

UROCZYSTĄ premierą montażu dramatycznego pt. „MICKIEWICZ" w teatrze im. Słowackiego otwarto doroczne „Dni Krakowa".

PZWS WYPRODUKOWAŁY DO DNIA 31 MAJA RB. 50.000.000 EGZEMPLARZY KSIĄŻEK SZKOLNYCH

ZAKŁADY Graficzne Państwowych Zakładów Wydawnictw Szkolnych w Bydgoszczy wypuściły w tych dniach z druku pięćdziesięciomilionowy egzemplarz książki szkolnej, wydanej przez PZWS. W liczbie 50 milionów egzemplarzy wydanych książek mieszczą się nie tylko podręczniki szkolne, lecz także książki pomocnicze dla ucznia i nauczyciela, książki popularno - naukowe oraz książki dla dzieci.

ROZBUDOWA U. C. S.

9 BM. w Uniwersytecie Marii Curie-Skłodowskiej w Lublinie odbyła się uroczystość oficjalnego przekazania nowoodbudowanych gmachów, w których znalazły pomieszczenie pracownie i sale wykładowe Wydziału Rolnego i Weterynaryjnego.

KONKURS NA ZNACZKI POCZTOWE

MINISTERSTWO Poczt i Telegrafów ogłosiło kilka konkursów na znaczki pocztowe, m. in. na oddzielne znaczki z podobiznami: MICKIEWICZA i SŁOWACKIEGO, oraz MICKIEWICZA i PUSZKINA.

MUZEA W POLSCE

NA terenie kraju istnieje 116 muzeów, w tej liczbie 22 państwowe i 70 samorządowych. Z liczby 116 na m. Warszawę przypada 12 muzeów, na woj. warszawskie — 3, Łódź posiada 4 muzea, woj. łódzkie — 8. Z innych województw największą liczbą muzeów może się poszczycić woj. wrocławskie, które ma ich 19. Następnym z kolei jest woj. krakowskie, licząc 15 muzeów, oraz woj. poznańskie, liczące 11 muzeów. Woj. śląskie posiada 10 muzeów. W woj. kieleckim istnieją 4 muzea, w olsztyńskim — 3, w gdańskim — 2 i w białostockim — 1.

GRAFIKA POLSKA WE FLORENCJI

W obecności ambasadora RP we Włoszech otwarta została dn. 13 bm. we Florencji, w Palazzo Vecchio, wystawa grafiki polskiej.

WYSTAWA HISTORYCZNA TEATRU KRAKOWSKIEGO

PREZYDENT m. Krakowa dokonał w dniu 11 bm. otwarcia historycznej wystawy Teatru Krakowskiego.

Na wystawie reprezentowane są działy: opera, dramat i komedia w teatrze im. J. Słowackiego oraz w teatrach powszechnych, ludowych i robotniczych.

WYSTAWA MALARSTWA POLSKIEGO W BERLINIE

W dniu 17 czerwca br. w gmachu biblioteki państwowej w Berlinie nastąpi uroczyste otwarcie wystawy malarstwa polskiego, obejmującej 75 dzieł XIX i XX stulecia. Wystawa zapowiada się niezwykle interesująco. Katalog wymienia m. in. obrazy Jana MATEJKI, Leona WYCZÓŁKOWSKIEGO, PODKOWIŃSKIEGO, Jacka MALCZEWSKIEGO, Józefa CHEŁMOŃSKIEGO, Olgi BOZNAŃSKIEJ i innych. Obrazy te po raz pierwszy wystawione będą w Berlinie.

Zapowiedź otwarcia wystawy, zorganizowanej staraniem Biura Współpracy Kulturalnej z Zagranicą i Towarzystwa im. Helmuth von GERLACH, wzbudziła w Berlinie duże zainteresowanie.

WYSTAWA KURPIOWSKIEJ SZTUKI LUDOWEJ W PUŁTUSKU

STARANIEM Wojewódzkiego Wydziału Kultury i Sztuki i Starostwa Pułtuskiego, przy poparciu Min. Kultury i Sztuki, została zorganizowana w Pułtusku Wystawa Kurpiowskiej Sztuki Ludowej.

Wystawa obejmuje wszystkie działy twórczości kurpiowskiej, tkaniny, hafty, wycinanki, pisanki, kierce, kwiaty, ceramikę, bursztyny, malarstwo i in. Zgromadzono około 700 eksponatów (wraz z wycinankami), które są dziełem rąk chłopów.

Ponieważ Komitet Wystawy postawił sobie za cel zapoznanie szerokich mas społeczeństwa z istnieniem dwóch terenów Puszczy Kurpiowskiej — Puszczy Białej, obejmującej pow. Pułtusk oraz Puszczy Zielonej, w skład której wchodzi pow. Ostrołęka, eksponaty rozmieszczono w dwóch salach.

ZMIANY W TEATRACH

Z dniem 1 września 1949 r. zostali mianowani następujący kierownicy artystyczni i dyrektorzy teatrów:

Państwowy Teatr Polski i Kameralny w Warszawie: kierownik artystyczny i główny reżyser — Leon Schiller, dyrektor przedsiębiorstwa — Stefan Martyka, wicedyrektor — Jan Berliński.

Państwowy Teatr Powszechny w Warszawie — kierownik artystyczny — Józef Maśliński, dyrektor przedsiębiorstwa — Czesław Szpakowicz, wicedyrektor — Andrzej Krasicki.

Państwowy Teatr Komedii Muzycznej (Teatr Nowy) w Warszawie: kierownik artystyczny: Janusz Warnecki i Julian Tuwim — kierownik literacki, dyrektor przedsiębiorstwa — Tadeusz Jerzy Macierakowski.

Państwowy Teatr Współczesny w Warszawie (Teatr Klasyczny). Kierownik artystyczny — Erwin Axer, dyrekcja — Maria Gorczyńska i Michał Melina.

Państwowe Teatry w Krakowie (dotychczas Miejskie Teatry Dramatyczne): kierownik artystyczny i dyrektor — Bronisław Dąbrowski, wicedyrektor i zastępca kierownika artystycznego — Tadeusz Krotke, wicedyrektor — Marian Kramarski.

Państwowy Teatr Młodego Widza w Krakowie — kierownik artystyczny — Maria Biliżanka, dyrektor przedsiębiorstwa — Zofia Mysłakowska.

Państwowy Teatr Polski w Poznaniu — kierownik artystyczny i dyrektor przedsiębiorstwa — Wiliam Horzyca, wicedyrektor — Tadeusz Bessert.

Teatr Kameralny (Nowy) i Teatr Komedii Muzycznej w Poznaniu, wchodzące w skład przedsiębiorstwa „Państw. Teatr Polski w Poznaniu", będą pod ogólną dyrekcją Wiliama Horzycy. Kierownictwo Teatru Kameralnego obejmie Stefan Drewicz, kierownictwo Teatru Komedii Muzycznej — Tadeusz Chmielewski.

Państwowy Teatr im. Wojska Polskiego w Łodzi zmieni nazwę na: Państwowy Teatr im. Stefana Jaracza w Łodzi — kierownik artystyczny i dyrektor przedsiębiorstwa — Iwo Gall, wicedyrektor — Sabina Nowicka.

Państwowy Teatr Powszechny w Łodzi — kierownik artystyczny i dyrektor przedsębiorstwa — Karol Adwentowicz, wicedyrektor — Zygmunt Nowicki.

Państwowe Teatry we Wrocławiu — kierownik artystyczny i dyrektor przedsiębiorstwa — Henryk Szeletyński, wicedyrektor — Lucjan Dytrych.

Państwowy Teatr w Jeleniej Górze — kierownik artystyczny i dyrektor przedsiębiorstwa — Zuzanna Łozińska.

Państwowy Teatr w Bielsku — kierownik artystyczny i dyrektor przedsiębiorstwa — Aleksander Gąssowski.

Państwowe Teatry „Wybrzeże" w Gdańsku, Gdyni i Sopocie — kierownik artystyczny i dyrektor przedsiębiorstwa — Stanisław Kwaskowski, wicedyrektor — Michalina Wojewódzka.

Państwowy Teatr w Szczecinie — kierownik artystyczny i dyrektor przedsiębiorstwa — Zbigniew Sawan-Nowakowski.

Państwowe Teatry Ziemi Pomorskiej w Bydgoszczy i Toruniu — kierownik artystyczny i dyrektor przedsiębiorstwa — Aleksander Rodziewicz.

Państwowe Teatry w Kielcach i Radomiu — kierownik artystyczny i dyrektor przedsiębiorstwa — Hugo Moryciński.

Państw. Teatr w Częstochowie — kierownik artystyczny i dyrektor przedsiębiorstwa — Eugeniusz Poreda.

Państw. Teatr w Lublinie — kierownik artystyczny i dyrektor przedsiębiorstwa — Maksymilian Chmielarczyk.

Państwowy Teatr w Białymstoku — kierownik artystyczny i dyrektor przedsiębiorstwa — Władysław Szypulski.

Państw. Teatr im. Stefana Jaracza w Olsztynie — kierownik artystyczny i dyrektor przedsiębiorstwa — Władysław Surzyński.

Państw. Teatr w Rzeszowie — kierownik artystyczny i dyrektor przedsiębiorstwa — Kazimierz Biernacki.

Czytajcie
„Słowo Powszechne"!

Popierajcie
Katolicki Uniwersytet
Lubelski

Redagują: Bolesław Piasecki, Dominik Horodyński, Andrzej Micewski.
Wydawca: Kolegium Redakcyjne
Adres Redakcji i Administracji: Marszałkowska 81 m. 17. tel. 880-71. Konto P.K.O. — Nr. I-727.
Sekretarz redakcji przyjmuje: codzień, prócz wtorków i sobót, godz. 12.30 — 13.30
Dmik Skolimowska 5.
Prenumerata miesięczna 60 złotych. Kwartalna 180 złotych
R-30206